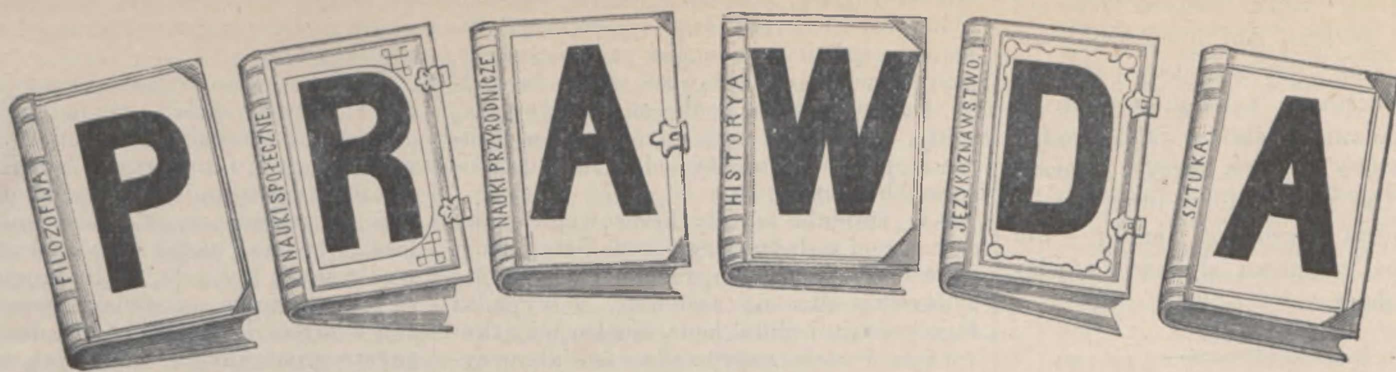
Nr. 18. Warszawa, dnia 6 Maja (24 Kwietnia) 1893 r. Rok XIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Z OBOZU JEZUICKIEGO.

Pomiędzy wekslami, które niemiecka partya centrum przedstawia rządowi do pokrycia w zamian za wymagane od niej ustępstwa, znajduje się także wygnanie jezuitów. Ażeby katolicy niemieccy tak bardzo kochali tych „ojców“ i szczerze do nich tęsknili, nie wierzymy; ale w długich targach z prześladującym ich niegdyś rządem wyczerpali swoje pretensye, a pragnąc uchodzić za pokrzywdzonych i posiadać wpływ, w braku czegoś lepszego upominają się o jezuitów. Przez jakiś czas krążyła pogłoska, że za tę cenę chcą sprzedać swe głosy na korzyść reformy wojskowej. Było to dość prawdopodobnem; nagle jednak pisma ultramontańskie oznajmiły, że „wniosek, domagający się zniesienia banicyi, został zaniechany.“ Dlaczego? Czy jego opiekunowie cofnęli swe głosy przed zbyt twardym murem, niemożliwym do przebicia? Odpowiedzi na to pytanie trzeba poszukać gdzieindziej.

Pewnego dnia pękła jak bomba w gazetach niemieckich wieść, że hr. Hoensbroech, który przed 13 laty z wielką paradą wstąpił do jezuitów, po długiej walce wewnętrznej opuścił ten zakon, którego zasady mu obmierzły. Z początku tajono i osłaniano ten fakt najrozmaitszymi pozorami, wreszcie sam bohater przemówił w majowym zeszycie *Preussische Jahrbücher*, w którym objaśnił przyczyny swego wystąpienia. Warto poznać tę szczerą spowiedź nie dla zrozumienia kroku hr. Hoensbroecha, który nas mało obchodzi, ale dla wejrzenia w tajemnice zakonu, który kiedyś nas ogłupiał i demoralizował, a dziś jeszcze marzy o panowaniu nad światem.

Porządek dzienny dla nowicyusza jezuickiego — opowiada hr. H.— jest w ciągu dwu pierwszych lat codziennie z tą samą energią i zręcznością powtarzającym się zamachem na wewnętrzną i zewnętrzną samodzielność rozwoju człowieka. Nietylko na każdą godzinę, ale na każdy kwadrans i jeszcze mniejsze działki czasu ma on przepisane zajęcie. Wszelka ochota, skłonność do jakiegokolwiek działania (nienakazanego) jest zduszona. Wszelkie właściwości, odrębne cechy charakteru muszą być starte. Chód, trzymanie rąk, spojrzenie, ruchy głowy — ujęte są w najściślejsze przepisy. Literalnie nic nie wolno zrobić samodzielnie. Chcesz napić się wody, wziąć kawałek papieru lub ołówek— musisz prosić o pozwolenie. Każdy nowicyusz zaraz przy wstąpieniu do zakonu otrzymuje t. zw. „anioła stróża,“ tj. codziennie o pewnej godzinie dwaj nowicyusze muszą wzajemnie zwracać sobie uwagę na wykroczenia, jakie popełnili. Nadto kilkakrotnie w ciągu roku wobec przełożonego i wszystkich nowicyuszów odbywa się t. zw. „kamienowanie“ (lapidatio). Każdy z nich kolejno klęka, a wtedy inni wytykają mu winy, które zauważyli w jego postępowaniu: np. chodzi za prędko, za wolno, za wiele się ogląda, patrzy za daleko przed siebie, mówi za głośno itp. Są to grzechy przeciw „regułom skromności,“ których treść da się wyrazić krótko tak: nie należy marszczyć czoła, a tem bardziej nosa, ściskać lub rozwierać szeroko warg, patrzeć przy mówieniu w czyjeś oczy, okazywać wzruszeń, poruszać rękami, śmiać się głośno itd.

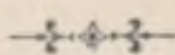
Religijny rachunek sumienia jezici zamienili na czysto ludzki. Spowiadający się wie, że spowiednik nie zachowa w tajemnicy jego wyznań, lecz zrobi z nich użytek w potrzebie „dla dobra zakonu.“ Nadto musi on wypowiedzieć nietylko swoje grzechy, lecz wszystko—obnażyć swą duszę zupełnie. Nie dość tego. Wstępując, nowicyusz musi złożyć najdokładniejszą piśmienną spowiedź z całego swego życia. Oprócz tej wielkiej, co ośm dni przez dwa lata (tyle trwa nowicyat) musi składać małe, dopóki nie zostanie „scholastykiem.“ Wtedy ten obowiązek nie jest od niego wymagany, ale zalecany.

W dziedzinie wiedzy jezuici krępują umysł prawie bezwzględnie, gdyż pozostawiają swobodę tylko w tych gałęziach, w których ona jest najmniejszą, mianowicie w matematyce i filologii. Morderczy ten system tępi również zaciekle poczucie narodowości, wymagając od swych wychowańców a raczej ofiar kosmopolityzmu. Nie wolno im mieć ani swojej ojczyzny, ani języka, ani ideałów po za zakonem Lojoli, w nim rozpływać się powinny wszystkie ich myśli i uczucia.

To, co tu przedstawiliśmy w krótkiem streszczeniu, hr. Hoensbroech wykłada obszernie i szczegółowo, wykazując w rozmaitych kierunkach życia, jak dalece jezuityzm jest zabójczym dla człowieka z odrobiną samodzielności i jak szkodliwym dla społeczeństwa. Gwałci on naturę człowieka, czyni ją kaleką, zakaża najgorszymi pierwiastkami, a wydziera i tępi najszlachetniejsze. Pragnie on z niej uczynić bezduszną maszynę, poruszaną sprężynami potwornego systemu.

O tem wszystkiem dawno wiedziano, ale zapomniano, gdyż jezuici tam, skąd ich wygnano, przeszli do legendy. Odświeżenie w pamięci ogólnej wstrętnych wspomnień, wskrzeszenie złego ducha, dokonane nie przez jakiegoś liberała, ale przez pobożnego arystokratę, przez długoletniego członka zakonu, który mimo całej swej pokory i religijności nie mógł wytrzymać tortury, musiało podziałać na umysły i zniesławić zamiar otworzenia jezuitom wrot Niemiec. To też fanatycy stronnictwa centrum, chociaż pozornie lekceważyli wynurzenia hr. Hoensbroecha, zrozumieli, że on ich wnioskowi podcrwał grunt i że trzeba sztandar Lojoli zniżyć i schować do pomyślniejszej chwili. Oto jest właściwy

powód odwrotu, który rządowi niemieckiemu uprzątnął wielki kamień z drogi. Ani cesarz bowiem, ani hr. Caprivi nie zgodziliby się na zdjęcie klątwy państwowej z nienawistnego zakonu, a centrum mogło to żądanie postawić jako środek wymiany za swe głosy na korzyść reformy wojskowej. Czy wynaleziono inny, możliwy do przyjęcia przedmiot handlu — nie wiadomo, dość że znowu słychać o nawiązanych układach.



REFORMY KOŚCIELNE W WĘGRZECH.

Wnioski rządowe. — Cesarz w Budapeszcie. — Przyjęcie wyznania żydowskiego. — Metryki cywilne. — Groźba duchowieństwa i odpowiedź rządu. — Kardynał Vasary i reporter amerykański.

Kilkakrotnym okrzykiem „Eljen!“ powitał parlament węgierski wnioski rządowe, dotyczące upaństwowienia metryk i przyjęcia wyznania żydowskiego. Były one niespodzianką zarówno dla sprzymierzeńców, jak i dla przeciwników gabinetu Wekerlego. Po obu stronach istniało przekonanie, że wobec grożących zewsząd przeszkód, rząd odroczył milcząco na czas dłuższy wszelkie kroki w sprawach kościelnych. Przypuszczono, że wstrzymał go na tej drodze przedewszystkiem opór bierny najwyższych kół wiedeńskich, a szczególnie niechęć ukryta cesarza, który przez pół roku prawie nie odwiedził swej stolicy węgierskiej, wrzekomo zgorszony panującymi tam prądami liberalnymi. Pogłoski te nie były bynajmniej bezpodstawne. Zdaje się jednak, że w nastroju sfer dworskich zaszła w ostatnim czasie pewna zmiana, którą zresztą oddawna przewidzieć było można. Jeśli chodzi o zaspokojenie żądań węgierskich— w Hofburgu wiedeńskim o długim oporze nie może być mowy. To też równocześnie z przedstawieniem obu projektów cesarz zagościł znów w Budapeszcie, okazując tem, że nie zamyśla sprzeciwiać się dłużej reformom, cieszącym się w obecnej chwili nadzwyczajną popularnością.

Przyzwolenie cesarskie nie odnosi się jednak dotychczas do całego programu akcyi kościelnej. Najważniejsze jego punkty: śluby cywilne i równouprawnienie wyznań nie znajdują się jeszcze na porządku dziennym a przyszłość ich pozostaje nadal dość wątpliwą. Z obu projektów, wniesionych obecnie przez rząd, pierwszy, dotyczący przyjęcia wyznania mojżeszowego, posiada właściwie tylko znaczenie formalne. Ustawa odnośna obejmuje trzy paragrafy. Pierwszy z nich orzeka, że wyznanie mojżeszowe należy odtąd do rzędu uznanych państwowo.

Nie zmienia to dotychczasowego stanu rzeczy pod żadnym względem. Ustęp drugi dozwala chrześcianom przechodzić na religię żydowską. Ma się rozumieć, że wypadki tego rodzaju i nadal będą bardzo wyjątkowe i że w razie zaprowadzenia ślubów cywilnych ustałyby zupełnie. Ostatni ustęp wreszcie jest tylko formułką, polecającą ministrowi wyznań i oświecenia wykonanie obu poprzednich. Wszystko razem biorąc, mamy tu bardziej manifestacyę w duchu liberalnym, niż rzeczywisty krok ustawodawczy o następstwach dodatnich.

Ważniejsza jest treść drugiego przedstawienia rządowego, odnoszącego się do metryk cywilnych. Prześcignęła ona nawet poniekąd oczekiwania liberalnych przyjaciół rządu. Nie spodziewano się bowiem, że on zechce odebrać odrazu metryki duchowieństwu i oddać je własnym urzędnikom, lecz przypuszczano, że osoby duchowne przez pewien czas przejściowy sprawować będą na tem polu dotychczasowe swe czynności z tą tylko różnicą, że wpisy zaciągać będą do ksiąg państwowych a nie kościelnych. Przemawiały za tem względy praktyczne a przedewszystkiem pieniężne. Z jednej bowiem strony prowadzenie metryk przysparzało proboszczom stałych dochodów, których niepodobna było pozbawić ich bez odpowiedniego odszkodowania, z drugiej zaś ustanowienie osobnych urzędników świeckich wymagało znacznych wydatków i przeprowadzenia wielkich prac organizacyjnych w krótkim czasie. Rząd nie zawahał się jednak przed temi trudnościami. Projekt ustawy wniesiony przez ministra spraw wewnętrznych, Hierorymiego, oddaje odrazu metryki chrztu i urodzenia w ręce świeckie, przyczem duchowieństwo wiejskie zabezpieczone zostało przeciw dotkliwym następstwom materyalnym przez sejm węgierski. Co się tyczy urzędników państwowych, mających prowadzić odtąd księgi, to urząd ich posiada charakter honorowy i będzie sprawowany zupełnie bezpłatnie lub za bardzo małe wynagrodzenie. Wobec ofiarności okazywanej w sprawach publicznych przez wszystkie warstwy społeczeństwa węgierskiego, nie ulega wątpieniu, że znalazłoby się zawsze dość ochotników dla pełnienia tego obowiązku obywatelskiego i że nowa organizacya mogłaby zostać przeprowadzona wkrótce i tanim kosztem.

Do tego kroku zmusiło rząd samo duchowieństwo, które oświadcza dziś już otwarcie, że w razie uchwalenia jakiejkolwiek ustawy o metrykach cywilnych, nie zamierza bynajmniej zaniechać prowadzenia dotychczasowych ksiąg kościelnych, lecz że będzie i nadal dokonywać wpisów wedle zasad kościoła, czyli innemi słowy, że pozostanie na stanowisku, zajętem przezeń w słynnej kwestyi chrztu dzieci z małżeństw mieszanych, która, jak wiadomo, stała się punktem wyjścia dla całej obecnej polityki kościelnej. Wobec tych pogróżek rząd nietylko nie mógł myśleć o pozostawieniu ksiąg w rękach duchownych, lecz musiał przewidzieć w projekcie swym możność starć między przyszłymi swymi urzędnikami a proboszczami, przechowującymi dotychczasowe księgi wpisowe. Na wypadek, gdyby proboszcz nie chciał dostarczyć stronom wyciągu z metryk kościelnych, ustawa grozi mu karą pieniężną, a nawet więzienną, w razie zaś gdyby środki te okazały się bezskutecznymi, upoważnia urzędy cywilne do przymusowego odebrania ksiąg w celu sporządzenia potrzebnych wyciągów. Zdaje się, że ostre te przepisy nie pozostaną martwą literą. Przy obecnem wojowniczem usposobieniu duchowieństwa węgierskiego wielce jest prawdopodobnem, że starcia tego rodzaju powtarzałyby się dość często, przynajmniej w pierwszym czasie.

Mamy więc tu przed sobą pierwszy istotny krok rządu węgierskiego na drodze reform kościelnych. Nie należy jednak zapominać o tem, że istnieje on dotychczas jedynie w postaci zamiaru i że nawet wówczas, gdy przedstawienie rządu stanie się uchwałą Izby sejmowej, będzie ono zawsze jeszcze tylko zamiarem. Właściwe trudności okażą się dopiero w chwili, gdy projekt przejdzie do Izby magnatów. Tam dopiero rozpocznie się walka stanowcza, a dostojnicy kościelni nie wątpią o tem, że wynik tej walki będzie dla nich korzystny.

Niedawno kardynał prymas Vasary w rozmowie z amerykańskim publicystą, Deweyem wypowiedział swe poglądy na teraźniejsze położenie. Zapytany, dlaczego kościół w Węgrzech opiera się zmianom, które w innych krajach zostały już przeprowadzone, odpowiedział prymas argumentem nieco dziwacznym: „Nie chcemy— były jego słowa — wprowadzać zmian jedynie dlatego, że uczyniły to inne państwa; my powinniśmy się powodować je-

---

3)

RROLIS.

ŚMIESZNA DOLA.

Sylwetki.

VIII. O haku Bazylowej.

Bazylowa chodzi po mieście z długim kijem, na którego końcu osadziła hak.

Melancholijna, wychudła postać kobiety podobna jest do dżumy, o której Mickiewicz powiadał, że macha chustą po nad zamki i sioła, że przed nią kryją się ludzie, a psy na jej widok skomlą. Bazylowa w samej rzeczy ma jakiś szmat to powiewający u niej w ręku, to zwieszający się jak opończa z ramienia.

Zresztą mówmy otwarcie: niewiasta owa jest łachmaniarką, a szmat — workiem. Nie dziw tedy, że każde śmiecisko ma dla niej urok niezrównany. Zwykle wstaje o świcie i gdy inni oddają się jeszcze marzeniom, napełnia swój worek bogactwami tego świata.

Stary weteran major Rębacki, który codzień o wschodzie słyszał w obozie dźwięk trąbki, tak przywykł do pobudki, że dotychczas zrywa się o świcie, aby wypalić fajeczkę. Owóż stojąc u okna, widzi, jak Bazylowa kieruje swe kroki do śmietniska, jak zapuszcza dzielny hak zwycięzko, wydobywając na wierzch kości i szmatki; jak za każdym przedmiotem godnym torebki twarz baby rozpromienia się. Widzi major, że wstążka, która w przeszłą niedzielę ozdabiała głowę pani Lokalskiej, dziś poszła do worka, więc uśmiecha się i szepcze:

— Fatałaszki ten świat — mości dobrodzieju. Gdy ze śmietnikiem sprawa była skończona, Bazylowa ujrzała w rogu podwórza psią budę i jako logicznie rozumująca niewiasta, odgadła, że gdzie jest buda, tam może być pies, a więc i niedogryzione kości. Wiedziała także, że pies, na wzór człowieka, nie bardzo lubi, gdy się wdzierają do jego mieszkania, więc dla obserwacyi stanęła zdala, nachyliła głowę, zgięła się i — o dziwo! — w budzie dojrzała coś... ale nie psa. Zlekka końcem haka poruszyła przedmiot. W jednej chwili z budy wysunął się chłopak: był to Szymonek. Juźci Bazylowa nie znała go wcale, zresztą nie chodziło jej o to; zrobiwszy ważne odkrycie, patrzyła na chłopca napół ze zdziwieniem, napół z dumą; lecz nie wiele starczyło czasu na badanie: chłopak odgadł rzemiosło kobiety i obrażony zawołał:

— Jak śmiałaś mnie ruszać!.. To nie twoja buda.

— Ach ty pędraku jakiś — mruknęła baba.

Słysząc obraźliwe zdanie, chłopak z zaciśniętemi pięściami podsunął się ku władczyni śmiecisk.

Walkę wypowiada jakiś obdartus — jej, co nawet brytanów mitygować umie... Bazylowa podniosła hak. Był-li to zamiar napastniczy, obrończy, czy tylko sposób wywołania strachu — nie wiadomo, bo w tej chwili, gdy oręż wznosił się w górę, zręczny szubrawiec dał susa i już go miał w ręku. Jeszcze chwila i chłopak wybiegł za bramę. Bazylowa, niby rozbrojony rycerz, czuła się pognębioną, zniesławioną z trwogą i bólem popędziła za zwycięzcą.

Major, patrząc na tę scenę, brał się za boki, wywijał cybuchem, wstrząsał głową, śmiał się. Na chwilę wstrzymywał oddech,

dynie naszemi własnemi potrzebami. Dotąd stosunek między kościołem a państwem u nas był zadawalającym, czyż mamy go zakłócić nowym wątpliwym pomysłem? To też projekty rządowe napotkają na silną i wytrwałą opozycyę. Być może, że będą przyjęte w Izbie poselskiej, ale niezawodnie upadną w Izbie magnatów. Tam duchowieństwo z wszystkimi swymi stronnikami wystąpi przeciwko nim energicznie." Nadzieje te są dość uzasadnione. Jedynie mógłby wywrzeć jeszcze nacisk pewien na magnatów węgierskich dymisya Wekerlego, który w tej chwili jest osobą nader popularną w kraju, a nadto niezbędnie potrzebną dla przeprowadzenia reform walutowych.

W dalszym ciągu rozmowy swej z dziennikarzem amerykańskim oświadczył kardynał Vasary, że jako gorący patryota *vox populi* stawia wyżej, niż wszelkie interesy stronnicze i że większość ludności Węgier jest przeciwna zapowiedzianym projektom rządowym. Słowa te, brzmiące dość dziwnie w ustach dostojnika kościelnego i sprzeciwiające się wszelkim tradycyom kościelnym, są zarazem nader znamienne dla stosunków węgierskich. W kraju tym duch narodowy i poczucie łączności obywatelskiej tak wysoce są rozwinięte, że nawet kościół nie chce zajmować stanowiska odrębnego, lecz walcząc o swe przywileje, szuka przynajmniej pozornie do tego upoważnienia w społeczeństwie.

S—l.

BADANIA NAUKOWE.

HORDA PIERWOTNA.

Totemizm. — Gens z ludzi i zwierząt. — Solidarność pomiędzy krewniakami ludzkimi a zwierzęcymi. — Próby wytłomaczenia zjawiska. — Obrzędowa strona totemizmu: podszywanie się pod zwierzę. — Pierwotna horda ludzka była zbiorem osób, przebranych za zwierzęta. — Pobudki.

Wśród przesądów, właściwych pierwotnej ludzkości, spotykamy kilka szczególnych, które w ostatnich czasach stały się przedmiotem nader gorliwych dociekań, chociaż po dzień dzisiejszy nie otrzymały dostatecznego wyjaśnienia. Jest to tak zwany totemizm. Zanim rzucimy światło na jego rodowody, przyjrzyjmy się uprzednio, na czem on polega. Kto chociaż pobieżnie przerzucał pomnikową pracę Morgana, wie, że każde plemię czerwonoskóro rozpada się na pewną liczbę gentów, tj. grup, z których żadna nie może zawierać związków małżeńskich w swem łonie. Gens podczas „wyższej dzikości" i w „niższem barbarzyństwie" nosi zawsze nazwę jakiegoś zwierzęcia: wilków, jeleni i t. d. Powtarza się to wszędzie na globie ziemskim, gdziekolwiek mamy do czynienia z tym samym szczeblem rozwoju kulturalnego. Książka badacza amerykańskiego zajmuje się polityczną organizacyą plemienia i zgoła nie dotyka osłonki filozoficznej i kosmicznej, która owija ustawę społeczną. A tymczasem pomiędzy gentem a zwierzęciem, którego imię on nosi, istnieje zdaniem plemieńców szczególny związek tajemniczy. Każdy gens patrzy na odpowiednią grupę zwierzącą, jako na istoty „tego samego mięsa," tj. jako na krewniaków, względem których obowiązuje w całej pełni zasada wzajemnej solidarności. Jeżeli wobec australczyka zabijemy jego zwierzę gentylne, natychmiast usłyszymy z ust jego skargę: „pocoś zabił mego brata!" Weźmy kilka okazów tej solidarności. Damarzy, plemię pasterskie w południowej Afryce, nie dotkną nawet naczyń, w których gotowano mięso ich zwierzęcego krewniaka i unikają dymu z ogniska, przy którem to czyniono. Za jedzenie mięsa rodowca zwierzęcego grozi kara śmierci. Samoańczyk, należący np. do gentu sowiego, kiedy znajdzie na drodze martwą sowę, siada, zalewa się łzami i uderza kamieniem w czoło aż do krwi, później zaś ją grzebie w ziemi. Wzamian zwierzę rodowe oddaje swojemu dwunożnemu krewniakowi liczne usługi: ostrzega go we śnie przed niebezpieczeństwem, nie uczyni mu żadnej krzywdy itd. Skorpion np. będzie biegał po ciele skorpionowca i nie ukąsi go, jeżeli zaś coś podobnego się zdarzy, będzie to wskazówką, że ów człowiek ciężko zawinił i że gens powinien go się wyrzec. Jak zatem widzimy z powyżej podanych faktów, pomiędzy człowiekiem a jego totemem, tj. zwierzęciem gentylnem, istnieje w pojęciu pierwotnej umysłowości ścisły związek braterstwa i solidarności. I dany gatunek zwierzęcy i odpowiedni gens pochodzą od wspólnego przodka. Poznajmy tradycyę o pochodzeniu Rakowców (u choktów). Dalecy przodkowie tego gentu mieli być rakami; pewnego razu wyszli oni na powierzchnię ziemi, właśnie w tej chwili, kiedy jakaś partya choktów przechodziła w pobliżu. Wyciągnęła ich, nauczyła chodzić na dwóch nogach i mówić, oderwała inne kończyny i przyjęła do swego plemienia, jako gens nowy, wówczas gdy reszta raków w swojej prastarej postaci pozostała pod wodą. Podania takie odnajdujemy wszędzie, gdziekolwiek spotykamy ustrój rodowy, ubrany w szaty filozofii totemistycznej. Przesądy te są dzisiaj jeszcze nader rozpowszechnione na globie ziemskim; zdaje się, iż istniały z wyjątkiem niewielkich terytoryów na przestrzeni całej Ameryki, Australii i Polinezyi; ślady ich odnajdujemy w najrozmaitszych zakątkach Afryki, Syberyi i Indyj przedgangesowych. Służą one za podstawę do zbudowania całej filozofii kosmicznej, o której damy najlepsze pojęcie słowami takiego źródłowego badacza, jakim jest Howitt. „Australczyk spogląda na wszechświat — powiada ten badacz — jako na olbrzymie plemię, w którem sam należy do jednego z poddziałów, a wszystkie przedmioty, które wraz z nim wchodzą do pewnej klasy, są cząstkami tej samej zwartej całości plemiennej, są one niemal dalszym ciągiem jego samego. Nic dziw, że dziki nie zabija ani nie spożywa zwierząt rodowych; przynajmniej czyni to niechętnie; a kiedy, przynaglony głodem, zabije jakiś okaz, utyskiwa mocno, usprawiedliwia się pokornie, a nawet kłamie przed zamordowanym krewniakiem dla przekonania go, że nie on jest sprawcą jego śmierci. Jest to swojego rodzaju obrzęd oczyszczenia się z bezbożnego występku. Takie zabójstwo jest mordem, popełnionym wewnątrz własnej grupy rodowej, czynem, który sprowadza furye na ślad mordercy."

Naturalnie przesądy te zaciekawiły niezmiernie etnografów, którzy sięgnęli do skarbnicy najrozmaitszych hypotez dla wytłomaczenia ich początku. Atoli próby te zaprowadziły niezbyt daleko. Mc Lennan, który zdaje się pierwszy zwrócił uwagę nauki na totemizm, z biegiem czasu zrzekł się wyjaśnienia zjawiska, rzecz bowiem wydała się mu aż nazbyt złożoną. To samo stanowisko zajął poniekąd Tylor. J. G. Frazer, wybitny badacz, który totemizmowi poświęcił specyalną pracę, poprzestał jedynie na zgrupowaniu i porównawczem zestawieniu materyału faktycznego, ale cofnął się przed rozwiązaniem zagadki rodowodów. Inny sumienny badacz obecnej chwili, A. Lang, wracał do tego przedmiotu kilkakrotnie, ale również nie kusi się o nakreślenie ich genezy. Uważając, że totemizm jest w związku z zakazami małżeńskimi, powiada, że jak i one wypłynął on z jakichś pierwotnych przesądów, których poczucie w dzisiejszej fa-

---

wyrzucał z ust stłumione: oj zuch! — i znowu wybuchał śmiechem. Wreszcie, gdy się uspokoił, zaczął rozmyślać:

— Ot by takiego w przednią straż, z przed nosa sprzątnąłby nieprzyjacielską chorągiew... Są jeszcze zuchy, są!

Gdy Bazylowa wybiegła na ulicę, chłopak był już na przeciwległej stronie, lecz nie uciekał, jeno zlekka, bokiem, jak rumak w harcu, podskakiwał, zapewne chcąc okazać swej przeciwniczce, że jeśli zechce, wnet jej zniknie z oczu.

Bazylowa zrozumiała swe krytyczne położenie i weszła w układy.

— Milutenki chłopczyku, oddaj mi hak.

— A na coś mnie trącała!

I po każdym kroku Bazylowej dawał susa.

— Widzisz — bo mnie bardzo zadziwiło, że człowiek nie we właściwem miejscu.

— Dlaczego nie we właściwem? Pies zdechł, buda pusta, każdy ma prawo wyspać się.

— Powiedz mi, kochaneczku — słodko jak dyplomata przemówiła Bazylowa — alboż nie masz mieszkania?

Chłopak, naśladując głos staruszki, przycisnął język do podniebienia i z pieszczotliwym sykaniem wyrzekł:

— Nie mam, kochana pani.

— Ach mój Boże! Czyż nie masz rodziców, opiekunów, krewnych?

— Nikogo, nikogo — odparł chłopak — mam tylko twój hak.

Przy tych słowach wstrząsnął zdobytym orężem tak zuchwale, że Bazylowej aż serce drgnęło; żałosnym głosem wyjękła:

— Oddaj, chłopcze, po co ci krzywdzić starą kobietę.

Słysząc w tych słowach boleść, Szymonek spoważniał i zatrzymał się, co widząc Bazylowa, miotana nadzieją i trwogą, posuwała się zwolna i drżącym głosem ciągnęła.

— Możeś dawno nie jadł... jeśli pójdziesz ze mną do mego mieszkania, dam ci kawał chleba, a może i mięsa.

Okup wydał się ponętnym do takiego stopnia, że nie czekając, nim Bazylowa zbliży się, Szymonek ruszył ku niej i wręczył hak poważnie i uroczyście.

W jednej chwili łachmaniarka wyprostowała się i jak zwykle bywa z tchórzami, po minionym strachu czując chęć zemsty, wzniosła hak. Chłopak czy nie zrozumiał jej ruchu, czy mniemał, że baba żartuje, bo wcale nie uciekał, owszem, stojąc na miejscu, ze zdziwieniem patrzył na nią. Bazylowa, która przywykła mieć sprawę z psami, nie mogła pojąć, co to znaczy, że chłopak nie umyka.

Wreszcie poczuła jakiś wstyd zdrady, obróciła całą sprawę w żart i wiodła chłopca do swego mieszkania po umówioną dań.

XI. O gęsiach, opinii ogółu i kapuście w worku.

Bazylowa chociaż nie zgłębiała teoryj o podziale pracy, skoro dostała wspólnika, zastosowała ją od razu. Wstawszy o świcie, zarzucała na ramię worek i wychodząc do miasta budziła chłopca. Czynność jego była łatwiejszą: powinien był, walcząc o pierwszeństwo z psami i pachołętami sąsiedniemi, rozgrzebywać na psiem polu najświeższe kupy śmieci.

Pewnego razu Szymonek wygrzebał monetę piętnastokopiejkową. Było to zdarzenie, o którem gruchnęła wieść we wszystkich domkach. Gdy za powrotem Bazylowej wręczył jej swą bogatą zdobycz, ucieszona kobieta przytuliła do swych łachmanów jego główkę. Bezwątpienia szczęty tej odzieży przypomniały Szymonkowi inne łachmany, bo rozrzewnił się i rozpłakał.

zie rozwojowej utraciliśmy, a których tem samem nie jesteśmy w stanie wytłomaczyć. Jedynie Spencer, a za nim Lippert nie cofnęli się przed pokusą; w swym ubogim arsenale posiadają oni zawsze na poczekaniu pewnego manekina, który wszystko umie rozstrzygnąć za pomocą tej samej magicznej formułki — sobowtorów. Sobowtor niby obierał sobie siedlisko w pewnem zwierzęciu, zaprzestawano przeto jeść mięsa jego itd. Zdaje się jednak, że, rozporządzając obecnie zebranym materyałem faktycznym, można rzucić pewne światło na źródło, z którego wyłoniły się praktyki totemiczne. Wadą usiłowań dotychczasowych było to, że zwracały one wyłączną uwagę na zakaz spożywania mięsa danego zwierzęcia i na pojęcia o krewniactwie wzajemnem, lecz nie uwzględniły całego szeregu obrzędów i ceremonij, właściwych totemizmowi. Uważny ich rozbiór niemal sam podsuwa dość wystarczającą odpowiedź, a zestawienie otrzymanych wywodów z niektórymi dzisiejszymi zwyczajami ludów pierwotnych jeszcze bardziej uprawnia do takiego rodzaju wniosków.

Totezim odcisnął swoje znamię na całem życiu plemieńca. Zapytajmy się np. członka gentu wilczego, jak się on nazywa, a odpowie nam, że jest wilkiem. Jeżeli widzimy go z daleka, a za pomocą pantomin rzucimy mu zapytanie, kim jest, odpowie nam rykiem, naśladującym wycie swojego totema; albo też, jeżeli należy do orłowców, wyprostuje ręce niby skrzydła i będzie niemi poruszał tak samo, jak orzeł podczas lotu. Każdy gens posiada tradycyę przekazywania imion, opartą na właściwościach zwierzęcia totemicznego, po za któremi innych nie wolno mu nosić. U łosiowców np. w plemieniu omahów brzmią one jak następuje: łoś, młody jeleń, stojący łoś, biały łoś, „nagle beczy“ *), „oczy zielone,“ „ucieka przed myśliwcem,“ „mięsień z golenia łosiowego,“ „ciemne piersi,“ „jeleń podnosi głowę dla ogryzienia pączków na drzewie,“ żółty kadłub, „stary łoś spaceruje,“ tępy ogon, „idzie dużymi krokami, przechylając się z boku na bok“ i in. W ten sposób ród Łosiów jest jakby zbiorem zwierząt w różnych stanach i w różnym wieku. Człowiek swojem imieniem przyrównywa siebie najzupełniej do zwierzęcia totemicznego. Podobnie to czyni w niektórych okresach życia całym swoim ubiorem. Pod tym względem nadzwyczaj pouczającymi są fakty, zebrane u omahów — plemienia, pod wielu względami nader sumiennie zbadanego przez uczonych agentów fundacyi Smithsońskiej. Plemię to rozpada się na pewną liczbę gentów, słynących pod nazwą żółwiów, łosiów, orłów, bawołów itd. Otóż czupryna chłopców bywa strzyżona każdorazowo w inny sposób — odpowiednio do gentu. Żółwiowcy noszą całą głowę zgoloną, z wyjątkiem sześciu kosmyków, sterczących ponad czołem, z tyłu wreszcie po dwa z każdego boku, a uosabiających głowę, ogon i cztery nogi tego zwierzęcia; łosiowcy noszą czuprynę, naśladującą ogon łosia itd. W każdym więc gencie sposób noszenia włosów usiłuje naśladować wygląd zwierzęcia totemicznego. Atoli na tem nie koniec. Są pewne wskazówki, że niegdyś każdego nowonarodzonego plemieńca wprowadzano uroczyście do odpowiedniego rodu, przebierając go za stosowne zwierzę. Zwyczaje łosiowców w plemieniu omahów są jaskrawym objawem takiego chrztu totemicznego. Wszyscy członkowie tego gentu zbierają się w kilka dni po urodzeniu nowego towarzysza, umieszczają niemowlę w pośrodku siebie i smarują twarz jego czerwoną barwą. Końcami palców robią także czerwone plamy na piersiach, ramionach, plecach — tak, jak to widzimy u młodych jeleni. Podobnie malują też samych siebie. Symbolicznie przyrównywają siebie i dziecko do zwierząt. Podobne obrzędy spotykamy przy ostatnich chwilach życia. Kiedy ktoś zpośród bawołowców jest blizkim zgonu, współrodacy obwijają go w skórę bawołu włosami na zewzątrz (tj. nadają mu wygląd tego zwierza), twarz zaś malują w pewien tradycyjny sposób. Zgromadzeni mówią do umierającego: „idziesz do zwierząt, idziesz do przodków, bądź mężnym!“ Wreszcie podczas tańców religijnych i w innych uroczystych chwilach życia todowcy występują przebrani jako pewne zwierzęta. Kto przeglądał takie prace, jak Katlina opis Indyan Ameryki północnej, pamięta owe postacie orle, niedźwiedzie, bawole, które w obfitości spotykamy na rysunkach, ozdabiających książkę.

Słowem, obrzędowa strona praktyk totemicznych świadczy o tem, że rodowiec usiłuje swoim wyglądem naśladować odpowiednie zwierzę. Mnóstwo okoliczności, w których istotę niepodobna nam zapuszczać się, wskazuje z nieprzepartą siłą, że właśnie to podszywanie się pod zwierzę totemiczne jest dogorywającym przeżytkiem praktyk, stosowanych niegdyś na obszerną skalę, a których innym szczątkiem będzie rysunek totema, noszony na ubraniu, niekiedy wytatuowany gdzieś na ciele. Może nawet wiele okaleczeń plemiennych posiada podobny początek, np. wybijanie zębów u dorastającej młodzieży. Cokolwiekbądź zresztą, mamy pewne prawo do wniosku, że niegdyś człowiek już nie w pewnych okresach życia, ale może ciągle usiłował swoją postacią podszyć się pod takie lub inne zwierzę. Podania pozwalają odsłonić jeszcze dalej rąbek tajemnicy totemicznej. Tradycye jowów opowiadają, jak niegdyś niedźwiedzie i wilki wzajemnie kłóciły się i pożerały; pewnego razu spotkawszy się, rzekły do siebie: „Jesteśmy jednako czarnej barwy, jednako mamy oczy, zęby i uszy. Winniśmy zatem żyć z sobą w doskonałej zgodzie. Nie bijmy się i nie kłóćmy!“ Odtąd żyli w zgodzie, jako rody tego samego plemienia. Inne podania mogą brzmieć inaczej, ale wszędzie znajdziemy ten sam rys zasadniczy, mianowicie, że zawsze jest mowa nie o pojedynczym przodku wilku, niedźwiedziu itd., ale o całej gromadzie. Wprawdzie wszelkie takie podania stanowią materyał najmniej zasługujący na ufność, w każdym jednak razie uprawniają one do wniosku, że jeżeli ongi człowiek chodził przebrany za zwierzę, cała horda nosiła ten sam strój, tj. że faktycznie istniały hordy ludzi-niedźwiedzi, ludzi-wilków itd. Atoli powstaje inne pytanie, jaka pobudka skłonić zdołała naszych dalekich przodków do takiego postępowania? Wobec rozpowszechnienia się przesądów należy mniemać, że była ona nader poważnej natury i że popchnęła człowieka do takiego kroku mocą swojej pożyteczności. Praktyki dzisiejszej chwili rzucają niejakie światło i na tę kwestyę. Możnaby mniemać, że pra-człowiek, który nie znał garbarstwa, musiał używać skór na odzież w postaci naturalnej i że z tego wypłynął ów zwyczaj podszywania się pod zwierzę, atoli przypuszczenie to nie posiada dostatecznej siły przekonywającej. Zdaje się, iż istniały po temu inne przyczyny. Każdy, kto przerzucał opisy podróży, zapoznał się z niektórymi zwyczajami myśliwskimi pierwotnej ludzkości: owemi przebieraniami się są strusie lub antylopy dla podejścia pod gromadkę zwierząt, z ukrywaniem się w gęstwinie leśnej i wabieniem ptaków itd. Praktyka ta w zamierzchłych czasach, kiedy oręż był mniej doniosłym, a łup polowania w większym stopniu zależał od zręczności myśliwca i sztuki podejścia, musiała posiadać obszerniejsze rozmiary. Nadto działały w tym kierunku jeszcze inne względy. Lang ma słuszność, gdy twierdzi, iż w obecnym okresie ludzkość zatraciła poczucie pierwotnej umysłowości. Jedynie drobne przeżytki świadczą

*) Wyrazy w rodzaju naszych: pędziwiatr, robigrosz.

— Ach ty głupi, głupi — rzekła czule kobieta.

Wieczorem tegoż dnia w chałupie Bazylowej tłuszcz w czerepie od garnka tlał, skwierczał i rzucał błędne światło do koła. Od czasu do czasu wybuchało ono jaśniej, natenczas oświecało duży piec, półki, gdzie stało kilka naczyń wyszczerbionych, stół, dwa zydelki, okna zapchane gałganami, Bazylowę leżącą na przypiecku i Szymonka skulonego u pieca na kupie łachmanów... Otoczenie, jak widzimy, nie zbyt okazałe, a jednak, rzecz dziwna, falujące po ścianach cienie człowiekowi lubiącemu porównania przypominały kominek pana Brzuchalskiego.

W życiu każdej rodziny bywają dnie nader szczęśliwe, gdy wszystko idzie jak z płatka. Dziś Szymonek znalazł w śmieciskiu monetę piętnastokopiejkową, a na drodze potężny drąg; Bazylowa, wracając z miasta, nagrzebała u cieślów, kończących budowę domu, sporo drzazeg, więc napalono w piecu sowicie. Nic tedy dziwnego, że spokój i zadowolenie nawiedziły chałupę. Człowiek w takich razach, jak wiemy z przykładu p. Brzuchalskiego, lubi marzyć, lubi dzielić się myślami. Bazylowa zagaiła:

— Ot widzisz, co znaczy grosz w domu! Kupiłam krup, ziemniaków, chleba, zjadłoś obiad, jak pan wielmożny... Niechbym znalazła na ulicy duże pieniądze, nigdybym nie oddała... Gdybyś teraz znalazł taką paczkę, jak kiedyś, kupiłabym ci spencerek, buty, czapkę, sobie ciepłą algierkę; kupiłabym drzewa cały wóz, cały worek ziemniaków — jakieby to życie było!.. Możnaby nawet i piwa kufelek wypić, i na śmieciska nie chodzić. Możebym i warsztat znowu założyła, byłbyś u mnie terminatorem, wyzwoliłabym cię, zostałbyś czeladnikiem... Na starość oddałabym ci wszystko: byłbyś majstrem, mógłbyś sobie kupić granatowy surdut i dużą laskę ze srebrną gałką, ożeniłabym cię z pierwszą w mieście majstrówną... Och, och, jakie głupstwo zrobiłeś! — zakończyła Bazylowa, zapominając, że wówczas nic jej by się pieniądze dostały.

— A mama mówiła — ozwał się chłopak nieśmiało — że cudzej rzeczy nie wolno brać, że jest to grzech śmiertelny.

— Mądra twoja matka, a sama z głodu umarła. Przecie nie kradłeś, tylkoś znalazł. Nie mówię — kraść, to — grzech, ale znaleźć nie ma grzechu; zresztą biednemu człowiekowi coś i wziąć... Ja sama jak byłam majstrową, strzeż Boże, żebym jakieś polano, czy nawet ścierkę wzięła, ale z potrzeby — to i Bóg przebaczy...

— A jak Walek w przeszłym tygodniu wziął od chłopa gęś z wozu, jejmość mówiłaś, że bardzo źle zrobił.

— Niedobrze, to niedobrze! Walka chwalić nie można, jednak ojciec jego cały tydzień je mięso i tłuszczem kaszę krasi, a my z tobą przez swoją poczciwość żywimy się ziemniakami. Jeżeli dobrze pomyśleć, nie wiele tam i zła: chłop miał do sprzedaży kilkanaście gęsi, co znaczy jakaś jedna!..

Chwil kilka trwała cisza. Wreszcie, jak echo pożądliwości ludzkiej, rozległ się głos Bazylowej:

— Sprytny szelma — Walek...

Szymonek milczał. W głowie jego gmatwało się tysiące myśli. Matka mówiła, że najmniejszej cudzej rzeczy brać nie wolno, co znajdziesz, zwrócić powinieneś, tymczasem p. Przytulski gniewał się, gdym oddał pieniądze, a Bazylowa mówi, że od bogatego nawet coś wziąć nie jest grzechem. Walek ukradł gęś i chociaż nań narzekano, lecz nikt chłopa nie ostrzegł. Ojciec wobec innych ugodził Walka w kark, a teraz zajada gęś razem z synem. Bazylowa

o tem, iż *praecursor homini* Hovelacque'a w szczególny sposób spoglądał na otaczający go świat i widział tam wpływy tajemnicze, gdzie my nic podobnego nie dostrzegamy. Pewne zwyczaje myśliwskie i ustępy w gadkach, ułamki prób filozoficznych itd. pouczają nas, że między innemi przypisywał on zwierzętom szczególną władzę czarodziejską. W jaki sposób miał np. daleki nasz przodek, zdolny ledwie do wybełkotania niewielu dźwięków, tłomaczyć ów objaw, że kiedy wielki drapieżnik zaryczy, różne zwierzęta roślinożerne truchleją i tracą zdolność do ucieczki? Albo dlaczego wąż czaruje swoim wzrokiem drobne ptaszyny i ściąga je do swojej paszczęki? Dzisiaj jeszcze tłomaczymy to za pomocą siły magicznej. Zresztą jakkolwiek objaśniano sobie sam fakt, rzeczą jest widoczną, że człowiek pierwotny usiłował skorzystać z tej wskazówki i na pewno naśladował wygląd i ryk drapieżnika celem udatniejszego polowania. Jeszcze dzisiaj zuńczyk, kiedy poluje na antylopy, wydaje ryk pantery, chcąc oczarować i ubezwładnić ofiary. Wreszcie człowiek — jak o tem świadczą fakty — wyznaczał zwierzętom olbrzymią rolę w przebiegu zjawisk przyrody, a ta okoliczność znowu mogła służyć za pobudkę do odpowiednich czynów. Zresztą trudno dzisiaj wyrokować o sprężynach podmiotowych, które pchnęły pra-człowieka do systematycznego naśladowania zwierząt; jedynie fakt upodabniania się posiada za sobą większą wiązankę dowodów. Z tego źródła w rozwoju stosunków małżeńskich ukazały się dzisiejsze praktyki totemiczne, które zresztą, w miarę jak sam zwyczaj pierwotny zanikał, przybierały jeszcze inne rysy, a nadto za totemów wzięły zwierzęta małej pożyteczności. Prawdopodobnem jest bowiem, że pierwotnie naśladowano i podszywano się jedynie pod takie, z których udawania odnoszono faktyczną i bezpośrednią korzyść. Ukazanie się organizacyi gentylnej z jej zakazami małżeńskimi, odbywające się na tle wspomnień z owej chwili systematycznego przebierania się za zwierzęta, przyczyniło się ostatecznie do utrwalenia ustawy totemicznej.

L. Krzywicki.



LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

Lettere di Paolina Leopardia Marianna e Anna Brighenti publicate da Emilio Costa. — Note Leopardiana E. Coste.

Pytanie, o ile okoliczności życia zewnętrznego przyczyniły się do wytworzenia pesymizmu Leopardiego — oddawna zajmuje krytykę. Już współcześni poety ze zwykłą pospolitością tłumu przypisywali wszystko materyalnym warunkom jego bytu. Złośliwość ta była zemstą wymierzoną przeciw jego wyższości. Jak to bolało poetę, widać z następującego miejsca w jednym z listów do przyjaciela, Zinnera: „Odwaga moja nie zawahała się, doszedłszy drogą badań do filozofii rozpaczy, przyjąć ją całą, gdy z drugiej strony było to tylko skutkiem tchórzowstwa ludzi, które każe im być przekonanymi o zasługach istnienia, że chciano uważać moje poglądy filozoficzne za rezultat cierpień osobistych i że uporczywie przypisują warunkom materyalnym mego życia to, co trzeba przypisywać memu rozumowi. Przed śmiercią chcę protestować przeciw tym wymysłom pospolitości i prosić czytelników, aby raczej starali się zniszczyć moje rozumowania i obserwacye, niźli oskarżać moje choroby.“ Krytyka rozstrzygała następnie tę kwestyę w sposób najrozmaitszy, przyznając wszelako warunkom materyalnym rolę przeważną. Nowsze materyały, jak listy siostry Pauliny, pozwalają wszakże odwrócić ten sąd i zbliżyć go poniekąd do zdania samego poety. Naprzód niknie legenda o tyranii jego ojca: z listów Pauliny widać, przeciwnie, iż był to człowiek dobry, miękki, kochający namiętnie swe dzieci, a jakkolwiek nie podzielał poglądów społecznych i filozoficznych syna, będąc konserwatystą i wierzącym, to jednak nigdy nie doszli oni do takich zatargów, jakie niechętna krytyka starała się dotychczas w najciemniejszych barwach malować. Naprężone stosunki istniały raczej z matką, suchą i upartą prowincyonalną arystokratką, która, trzymając w ręku klucze od kasy, odmawiała Joachimowi środków utrzymania. W tem zawierało się najdotkliwsze źródło cierpień poety: ustawiczna walka z nędzą, która nie zaoszczędziła mu żadnego poniżenia i żadnego upadku — od dobijania się miejsca kopisty, gdy mógł być profesorem, aż do żebraniny włącznie, nie przeszła mu bezkarnie. W jego listach, zwracających się z prośbą o zapomogę do bogatych krewnych, widoczna jest cała agonia tego serca, które darło się na kawały za każdym razem, gdy wyciągał rękę, jakieś silenie się na energię, graniczące z bezwstydem, a zarazem obawa, a może i radość z przeczucia odmowy. Każdy taki list jest całą tragedyą. Ale i ona nie jest dostateczna dla uzasadnienia tej systematycznej filozofii rozpaczy, która przemienia życie całe na grób ponury. Wszak i Heine opowiada z niewymowną goryczą: „ich müsste borgen, ich müsste betteln,“ a niedawno ogłoszony jego testament pokazuje, jak godność ludzka musiała się w nim przez życie całe krwawić, ile tajnych ran zadała mu ta zależność od bogatego bankiera, którego ręce zraszał „łzami swych chorych oczu“ z wdzięczności za jałmużnę. A jednak godził się z bytem, uważał go za znośny, a często nawet za błogi. Utrapienia nędzy nie są więc dostateczne dla objaśnienia filozofii *Infelicita*, przyczyniły się one co najwyżej do powstania tej okropnej nadczułości, którą chciałaby uciec gdzieś daleko i zamknąć się w norze mysiej, z obawy nowej nieudanej, z obawy ludzkiego śmiechu i współczucia, z obawy, którą czyni, iż człowiek czuje się śród kochanych bliźnich tak, jak gdyby każdej chwili oczekiwał pchnięcia nożem w bok.

Nareszcie krytyka wysuwa jego nieszczęśnia miłosne, jakkolwiek w tej dziedzinie pewnych danych istnieje bardzo niewiele, gdyż poeta szczelnie zamykał swe serce przed ciekawością nie tylko współczesnych, lecz i potomków. Ale i zajścia sercowe — jakkolwiek nieszczęśliwe w pospolitem tego wyrazu znaczenia — nie były tego rodzaju, aby mogły pchnąć poetę w otchłań bezgranicznej rozpaczy. Jako dowód nieszczęścia kumoszki krytyczne przytaczają, iż Leopardi żadnej ze swych licznych ulubionych nie zaprowadził przed ołtarz, a i bez tego zabiegi poety nigdy „pożądanym skutkiem“ uwieńczone być nie miały. Miłości jego były wszystkie platoniczne. Możnaby, przeciwnie, nazwać go z tego względu szczęśliwym. Dla ludzi ordynarnych miłość utożsamia się z „normalnem obcowaniem płciowem.“ Dla artystów kobieta jest tą pochodnią, która oświetla świątynię wyobraźni. Niestety, świątynia zwykle zapada w mroki z rozpoczęciem

---

wówczas nazwała Walka łotrem, a teraz go chwali, mówi, że jest sprytnym... Jaka to jednak smaczna rzecz musi być — gęś... Z tą myślą chłopak usnął.

Nazajutrz, wychodząc z domu, Bazylowa zaleciła mu, aby rozgatunkował gałgany; dotychczas ona sama, wróciwszy ze śmietniska, tem się trudniła, Szymonek tylko pomagał, lecz wiedząc, że jest sprytnym i zrozumiał technikę doskonale, jemu zleciła to ważne zajęcie.

Duża sień Bazylowej była zapełniona towarem: w jednym kącie leżały kości, w drugim butelki rozmaitego wzrostu i kształtu, w trzecim — drobne gałgany, w czwartym zaś — takie, z których można było mieć domowy użytek; z nich Bazylowa uszyła sobie całą odzież i Szymonkowi wcale pokaźny żupanik. Za osnowę dlań służyła kołdra stara, dodatki zaś zależały od wypadku. Musimy oddać słuszność byłej pani majstrowej, że dobrała je nader dowcipnie. Prawda, jeden rękaw był błękitnawy, drugi brunatny, lecz ktoby tam zważał na takie drobnostki! Główny cel był osiągnięty — chłopak nie ziąbł.

Nierozgatunkowany materyał składał się zwykle w środku sieni. Rozbierając tę kupę, Szymonek znalazł małą buteleczkę, w której na dnie zaschły szczątki atramentu; to mu przywiodło na myśl, że po dolaniu wody można z tego mieć korzyść, tj. pisać jak u p. Przytulskiego. Papieru i piór na śmiecisku nigdyby nie zabrakło, Walek ma scyzoryk, można by go zamienić na piłkę, którą podarowała Bazylowa, a do której Walek ma wielką chętkę.

Ukończywszy pracę, chłopak zarzucił na ramię worek i pobiegł w pole; tam załatwił sprawę z Walkiem, więc powracał do domu wielce zadowolony. Niedaleko śmieciska ciągnęły ku miastu wozy, naładowane rozmaitą żywnością, Szymonek patrzył na nie i myślał:

— Ile by to człowiek mógł spożyć, żeby mu pozwolono, siedząc na wozie, zajadać i gęsi, i masło, i sery, i wędlinę...

Pod napływem żarłocznych myśli zbliżył się do drogi i łapczywie spozierał na zapasy. Wtem z jednego wozu spadła i potoczyła się do przydrożnego rowu główka kapusty. Chłop, nie zauważywszy straty, jechał dalej. Szymonek opuścił worek na ziemię i sunął za wozem, chcąc ostrzedz właściciela... raptem zatrzymał się i pomyślał:

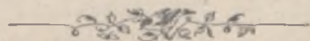
— On ma tak wiele kapusty, co znaczy jedna główka!

Poszedł, podniósł ją i skrycie wsunął do worka.

Gdy Bazylowa wróciła, Szymonek zawzięcie pisał. Zdziwiło ją to nie mało, wygderała go za niepotrzebną stratę czasu, bo panem przecie nie będzie, a udobruchała się dopiero wtenczas, gdy się przekonała, że chłopak zrobił wszystko, co doń należało; tj. nagrzebał ze śmieciska spory zasób i materyał rozgatunkował należycie, a nawet główkę kapusty przyniósł. Gdy zaś opowiedział, jakim sposobem ją zdobył, uśmiechnęła się i zdecydowała, że nader mądrze postąpił. Na obiad był kapuśniak, głodny Szymonek zajadał go ze smakiem.

Od owego kapuścianego dnia chłopak stawał się coraz szczęśliwszym. W ciągu zimy nieraz mu się udało coś zdobyć u sennego chłopa; zresztą, dzięki wrodzonej skromności, zadawalał się drobiazgami i Walkowi w artyzmie nie mógł dorównać. Na pochwałę Bazylowej musimy zauważyć, że ojcu Walka nie zbyt zazdrościła, zdobycze Szymonka cieszyły ją przedewszystkiem jako dowód staranności, zabiegliwości i przywiązania chłopaka.

(D. c. n.)



tego obcowania. Proces „krystalizacyi“ przerywa się wraz z nastąpieniem stosunków płciowych. Sklepikarze utożsamiają zwykle te stosunki z miłością, gdyż mają tyleż fantazyi, co dobrze przykrojony tużurek — nic dziwnego, iż muszą uważać naszego poetę za nieszczęśliwca. W rzeczywistości kobiety odegrały w jego życiu tę rolę, którą odegrać mogły: były tym narkotykiem, który utrzymywał jego wyobraźnię w ciągłem wrzeniu. Nie zarzucał długich zasłon na swoje niepokoje, nie pokrywał ich grubą warstwą popiołów, przeciwnie starał się, aby kochały wielkim płomieniem. Miewał wszakże chwile rozpaczy i zniechęcenia. Należał do tych bladych marzycieli, których wiosna często zastaje smutnych, ponurych — napróżno mały figlarz, Amor, chowa łuk i strzały, pukając do ich drzwi, skarżąc się na wiosenne chłody i szlochając prosi o gościnę. „Precz, ladaco! znam wszystkie twe sztuczki!“ Kobiety są zwykle litościwsze dla nagiego malca — jest tak niewytrzymały na zimno! — i gdy ze zwykłą swą skargą stanie w początkach wiosny z blagalną minąu drzwi, nie mogą się powstrzymać, chociażby najbardziej znużone, aby mu ich nie otworzyć: „Entrez, Monsieur l'Amour!“ Leopardi był dlań daleko surowszy, wydawało mu się, że „wysechł, jak trzcina“ i że utracił zdolność kochania, ale boskie źródło wciąż się odradzało i tryskało żywym zdrojem. Wszystkie prawie jego miłości były takiem podżeganiem fantazyi, zmysły nie przyjmowały tu żadnego udziału, a tembardziej serce. Jeżeli w tem nie było świadomego wyrachowania, to był przypadek, ale taki, którym kieruje wybredność szlachetnej natury. Zmysłem, który dostarcza nam najwięcej rozkoszy, jest mózg: wobec rozkoszy fantazyi, czemże są przyjemności dotyku, te piękne owoce, które przy pierwszem ukąszeniu okazują swe wnętrze napełnione popiołem? Rozkosze wyobraźni przynajmniej nie zostawiają na sercu tych nieuleczalnych ran, które trują i łamią. Serce jest dla gawiedzi chlebem powszednim, pokarmem codziennym, dla natur delikatnych powinno ono być organem atawistycznym, głęboko ukrytym — inaczej brudne łapy go skażą i kruki pożrą. Nic więc nie szkodzi, iż kobiety nie kochały Leopardiego — pierwszy lepszy fryzyer czynił na nich większe wrażenie, niż ten chorowity, ubogi i niepozorny geniusz — ofiarowywały mu wszystkie „ciepłą przyjaźń,“ a on się mścił, robiąc z nich manekiny, na których rozwieszał tkań swych marzeń. Wyznaje to wprost w swym wierszu do „Aspazyi.“ Kochałem nie was, lecz moją chimerę — mógł śmiało powiedzieć do wszystkich swych ulubionych. Należał bowiem do tych, co wymagają od kobiet tego, czego one dać nie mogą, i, trzeba przyznać, że nigdy im tego wybaczyć nie mógł. „Te boginie — powiada — gdy się do nich zbliżamy, zdejmują z siebie chętnie swą boskość, zdzierają promienie, któremi były otoczone, i kładą je do kieszeni.“ Pierwsze zapały oddał dwu córom ludu, Sylwii i Nerinie — umarły w dzieciństwie — smutny ich los tak rozpalił wyobraźnię poety, iż stworzył z nich dwie najładniejsze swe postacie. Następnie kochał po kolei hrabiankę Gertrudę Casti Lazari — bez wzajemności i hrabinę Carniani Malvezzi, którą wyobraźnia jego wnet przybrała w kształty Eleonory d'Este — spotkał go los Tassa: pomieściła go w najbardziej ukrytym kąciku swego serca, próżności i używała do poprawiania rymów, gdyż była wierszokletką. Następnie kochał Maryannę Brighasti, która także, rozumie się, odepchnęła biedaka i następnie, zupełnie jak sławetna Maryla, bardzo zręcznie starała się wyzyskać „kult jakim tchnęła dla wielkiego człowieka“ i wyrywając jeden z promieni sławy poety, chciała nim otoczyć swoją głowę. W końcu natchnęła poetę namiętnością księżna Karolina Bonaparte, Aspazya, która bardziej bolesne ślady pozostawiła na jego sercu. „Był to długi romans pełen łez i boleści“ — pisał — ale nie na tyle, aby się nie mógł odeń uwolnić, przeciwnie, wspominał go ze złośliwością.

Wszystkie więc zewnętrzne, materyalne warunki nie były tego rodzaju, aby mogły pchnąć poetę w objęcia filozofii rozpaczy. Iluż to jest ludzi żyjących w nędzy, opłakanych stosunkach rodzinnych, nieszczęśliwych w miłości, chorych, którzy pomimo to zostają aż do śmierci niepoprawnymi optymistami! Z drugiej strony są ludzie, którzy, żyjąc w najlepszych warunkach, spoglądają na świat, jak na wielki grób kirem obity. Są natury melancholijne, rodzące się z „robakiem w sercu,“ którego Heine już „w kołysce“ posiadał: „A gdy mi matka piosenki nuciła, nuciła i jemu.“ W najidealniejszych stosunkach społecznych będą ludzie zrozpaczeni i samobójcy. Tajemnica pesymizmu Leopardiego kryje się w jego uczuciowości i wyobraźni. Jest to uczuciowość zupełnie nienormalna, uczuciowość waryata. Geniusz tem właśnie się różni od talentu, iż ten ostatni zawsze pokazuje swe granice, pierwszy — nigdy. Utwór genialny czyni zwykle niepokojące wrażenie oczu szalonego. Wcale nie przypadkiem się staje, że ludzie genialni kończą na mistycyzmie, który jest rodzajem szaleństwa dla umysłów trzeźwych. Że Newton lub Mickiewicz stali się mistykami, to trzeba objaśniać nie warunkami zewnętrznymi, lecz naturalnym rozwojem ducha. Z pod prawa tego nie wyłamał się nawet Goethe, ten olimpijczyk, u którego trudno, zdaje się, spostrzedz, gdzie się marmur kończy, tak jest zdrów i spokojny. Otóż marmur ten jest mocno popękany. Między melancholią Werthera i mistycyzmem ostatniego aktu drugiej części *Fausta* zachodzi pokrewieństwo naturalne. Tak samo między szaleństwem Gustawa i ostatnią fazą umysłową Mickiewicza: „gościniec jest arcy-długi,“ ale prosty i konieczny. Idealizm Shelleya jest zjawiskiem tegoż samego gatunku, również jak i zrozpaczenie Leopardiego. Jest to stan graniczący z czarną melancholią i klucza do rozwiązania jego filozofii trzebaby raczej szukać w kronikach psychopatyi, niżeli w „warunkach zewnętrznych.“ Dodajmy do tego wyobraźnię Rembrandtowską, która, jak kopalnia czarnych brylantów, pokrywa wszystko, co do niej wpada kryształami o ponurych, krwawych i fosforycznych blaskach. Dla takiej wyobraźni horyzont duchowy zawsze pokryty będzie kirem. Nie pomogą tu żadne przyjemności, ani warunki szczęśliwe. Źródło nieszczęścia kryło się w nim samym.

Dodajmy wreszcie umysł filozoficzny, uogólniający wizye swych uczuć i fantazyi na świat cały i wszystkich ludzi, a także wolę i dumę stoika. Nie chciał więc nigdy wydobyć się z pod tyranii swych idei, przeciwnie, lubował się w goryczy. Kochał namiętnie prawdę i zdzierał maskę z obludy losu. Ta ciągła analiza była dlań źródłem cierpień fizycznych i heroizmu moralnego. Są w nim dwie osoby walczące bez ustanku: jedna czuje, cierpi, oddaje się dziecinnym strachom i śmiesznym przesądom; druga myśli, opiera się i przyjmuje z bohaterskim spokojem wszystkie rezultaty rozpaczliwych i okrutnych spostrzeżeń i dumań. Źródłem pesymizmu był dlań nie rozum — jak sam twierdził — lecz uczucie. Nie robił z serca psa na uwięzi, nie fałszował łez w swych oczach i z lutni swej wydobywał tylko dźwięki nieszczęścia i wolności. Chciał, aby krew jego dla serc włoskich w płomień się zmieniła. Ale z drugiej strony była to natura męzka, widać to z antycznej ścisłości jego języka: ani jednego wyrazu nie ustępował dla frazesu, ani harmonii — jego entuzyazm wytryska zawsze z myśli samej. Nie był to wszakże, jak niektórzy sądzą, grek z czasów Peryklesa i Anaksagorasa, ale raczej rzymianin pokroju Brutusa i Lukrecyusza. Jeżeli można pomyśleć otoczenie, w którem duch jego by się uspokoił, to był niem Rzym starożytny. Wierzył, że tam tylko człowiek miał pogląd prawdziwy na rzeczy i naturalny rozwój swych zdolności — żałował życia publicznego na forum bohaterstwa i sławy. Chrześciaństwo przemieniło to wszystko w cienie i życie utraciło swą wagę. Leopardi jest ostatnim ze starożytnych, jest smutny, jak pogrobowiec. Urodził się zbyt późno. Mógł sobie powtórzyć cudne słowa Ajaksa nad mieczem. Jest to najwspanialsza ruina na smutnym horyzoncie rzymskim. Jeżeli pojmował życie po za grobem, to także w sposób starożytny. Druhom swym naznaczał przed śmiercią z nabożną czułością, a nawet prawie z błyskiem nadziei, schadzkę pośród cieniów Homerycznych.

L. W.

LITERATURA CZESKA.

Socyologia jest jedną z nauk, która objaśnić może kierunki literatury danego narodu. Dla osiągnięcia tego celu potrzeba przeprowadzić analizę patalogii społecznej, która wykaże nam rozwój tych czynników psychicznych, wpływających na zjawiska umysłowości. Takim patalogiem społecznym był zmarły młodo (miał zaledwie lat 30) w r. zeszłym Hubert Gordon Schauer. Biografowie nazywają go „rzadkim bez skazy kamieniem czystej wody.“ Żywot jego — to bój o swobodę i niezależność myśli, nieskrępowanej ani szkołą, ani doktrynerstwem. Działalność jego naukowo-społeczna wyraziła się w rozlicznych broszurkach i artykułach. Nie było kwestyi drobnej, którejby nie rozebrał. Krytyk to ściśle realistyczny. Z nożem prosektora rozbierał on każdy nerw drgający w organizmie. Pewien indywidualizm tkwi w tych jego pracach, dotykających wszystkiego we wszystkiem. Im kwestya bliższa, prostsza, mniej złożona, tem więcej zapalała jego umysł, z natury subjektywny. Kategorye wyrozumowanej estetyki były dlań pobocznemi. W powieści uznawał tylko etykę i humanitaryzm. Był on pierwszym w Czechach twórcą krytyki pozytywnej. Ale subjektywizm nie pozwalał mu kroczyć w tym kierunku. Wyswobodził on wprawdzie krytykę z duszących objęć filologii, dziś jeszcze narzucającej swoje pęta, nie wniknął atoli w teoryę Taine'a. Oceniał każdego autora tylko ze stanowiska moralnego. Stosując tę zasadę do społeczeństwa czeskiego, dochodził do wyników ujemnych. Patryotyzm bowiem ludzi spółczesnych stracił dawno podwalinę, bo niemasz już pierwotnego zmysłu plemiennego, opartego na rodach. Stał się on jeno czczym wyrazem w ustach zwyczajnych utylitarystów, karyerowiczów. Zgorzkniały tem rozczarowaniem Schauer, cierpiał niewymownie. Piękne zamki jego marzeń runęły w przepaść. Złamany dolegliwym bólem, niepoznany i odtrącony od ludzi, znalazł spokój w mogile.

Podobny Schauerowi umysł objawia się w spółczesnym poecie, Bohdanie Kamińskim. Zarzucano mu pesymizm, gdy bliższa analiza p. F. X. Szaldy (*Literarni Listy*, N. 22) wykazała w nim jeno melancholię. Uwidocznia się ona w wierszu p. t. „Z Przikopu“. Nazwa ta odnosi się do miejsca przechadzek w Pradze. Są to typy, które zauważyć można po ulicach wielkich miast. Kaminsky kreśli sylwetki z tego tłumu bezbarwnego, kosmopolitycznego. Zgodnie też z charakterem swojej muzy, figurki, uchwycone tylko w danej chwili i czasie, przedstawiają zaledwie kontury. Nie okazują postępu jego „Czrty humori-

stické i satyrické“ I. (1892 r.). Krytyka uznaje je za zbiorek dowcipów i igraszek słownych bez wszelkiego znaczenia literackiego (*Literarni Listy* nr. 20). Natomiast w utworach Karola Chalupy „Z veselych dob“ (1892 r.) jest prawdziwy, świeży humor. Tłem jego powiastek jest przeważnie życie studentów prazkich.

Dr. Herben w powieści p. t. „Do trzetiho i czvrtého pokoleni,“ dotknął samego jądra narodu, bo ludu morawskiego. Jest to praca cenna, którą zalecić można nietylko etnografowi, ale i psychologowi. Dzieje pewnej wioski słowackiej, uosobione w losach rodziny Hrabców, są osią wątku. Początek tych dziejów sięga czasów Maryi Teresy. Owóż pierwszy z Hrabców, poniewierany za lat młodocianych sierota, udał się na służbę do znacznego magnata, u którego po wielu latach zaszczycony znacznym urzędem użył władzy swojej na udręczenie poddanych. Mścił się za wzgardę swojego sieroctwa. Pochlebstwem zyskiwał sobie względy pana, a krzywdą biednych wieśniaków napełniał kieszeń. Straciwszy przez bankructwo podstępem zdobyte mienie, osiadł między swoimi, których atoli aż do zgonu nienawidził. Synowie i wnuki wiernymi pozostali tradycyi ojcowskiej. Dopiero prawnuk Henryk starał się naprawić występki przodków. Szlachetny młodzian całą duszą umiłował lud, poślubiwszy, iż żywot swój poświęci dla szczęścia spółbraci. Włościanie wszakże pomni nienawiści, jaką względem przodków Henryka pałali, nie uwierzyli dobrym jego chęciom. Nieszczęsny marzyciel, zniechęcony przeciwnościami, z kosturem w ręku opuścił wioskę ojczystą. Tło historyczne odmalowane w tym utworze wyraźnemi i jasnemi barwami. Panowanie Maryi Teresy — to rozkwit stanów uprzywilejowanych, ciągnących soki z krwawej ludu pracy. Dopiero Józef II przyczynił się do poprawienia doli nieszczęsnych wieśniaków. Rolnicy czytając czasopisma ludowe, wzbudzili w sobie poczucie obywatelstwa. Dwa patenty cesarskie, jeden tolerancyjny z r. 1781, drugi o zniesieniu niewolnictwa z r. 1782 odrodziły wieśniaków z tyloletniego uśpienia. Prześladowani protestanci osiadali po wsiach. Po śmierci Józefa II nastąpiła reakcya. Usiłowano przywrócić dawny stan rzeczy. Wojny Napoleońskie podkopały rolnictwo, acz z drugiej strony bogaciły włościan, którzy zajmowali się dostawą dla wojska. Upadek Napoleona przyczynił się do rozwoju reakcyi. Dopiero przed czterdziestu pięciu laty położono koniec uciskowi.

Dopełnieniem tej pracy nazwać można książkę Franciszka Bartosza p. t. „Moravsky lid“ (1892). Jest to opis zwyczajów i zabaw świątecznych, tudzież okolicznościowych. Uwzględniono nawet kalendarz prognostyków i powitania przy spotkaniu się dwóch gospodarzów. Ubiorom poświęcił autor znaczną część swej pracy. Ciekawym jest artykuł o chlebie w obyczajach i przesądach ludowych, tudzież o czarownikach, czarownicach, guślarzach itp. Nawet o medycynie i o przesądach gospodarskich nie zapomniano. Dzieło p. B. jest ściśle przedmiotowe.

Zygmunt Winter wziąwszy za przedmiot studyów wiek XVI i XVII przedstawia życie społeczne i domowe czechów z tych stuleci. Dla łaćniejszej charakterystyki przeszłości, przemawia do czytelnika zamarłym językiem ubiegłych czasów, mową jędrną, wzorowaną na szyku łacińskim. Przedsmak już tego stylu widzimy w niektórych pisarzach z drugiej połowy XV w. Autor, obok niepospolitej nauki, zdradza pióro mistrzowskie.

Nie ustępuje mu w tym względzie znakomity popularyzator nauk przyrodniczych p. Bohdan Bausze, autor książki pod tyt. „Cztwero rocznich czasů (Praga 1893). Jest to obraz życia przyrody z uwzględnieniem najświeższych odkryć. Autor czarem swojego pióra przykuwa czytelnika.

Justyn Feliks Gajsler.

TEATR.

K. Zalewski. *Prawa serca.*



Zalewski jest komedyopisarzem „tez,“ urabiającym z rozmaitych „kwestyj“ żywe i barwne tkanki sceniczne. Każdy utwór wywija mu się dedukcyjnie z pewnego założenia i dąży do pewnego wniosku, tworząc niejako partyę szachów, rozgrywaną przez autora dwustronnie. Między temi kwestyami są jedne związane z jakąś chwilą rozwoju życia społeczeństw, będące ich przypadłościami i są inne stałe, że tak powiemy — chroniczne, odzywające się ciągle w organizmie ludzkości, jak gdyby jej artretyzm lub podogra. To też i komedye Zalewskiego albo noszą na sobie dość ścisłą datę, albo jej nie posiadają i mogą być odniesione do rozmaitych. Tę drugą kategoryę pomnożyła świeżo wystawiona w teatrze Rozmaitości sztuka p. t. *Prawa serca.* W ujęciu samej tezy autor poszedł drogą filozofów szkockich. Dla niego, serce jest to pewien organ uczuciowo-moralny, mający swoje ogólne potrzeby, wymagania — *prawa*, którym jedni czynią zadość, a drudzy je łamią. Naturalnie taki właściwy wszystkim ludziom organ nie istnieje po za sferą języka i jego sztucznych podziałów. Pomiędzy sercem a sercem zachodzą też same różnice, co między umysłem a umysłem, wiedzą a wiedzą. Czyn, który gwałci jedno serce, nie gwałci tysiąca innych, którym przeciwnie najzupełniej dogadza. Jeżeli tedy Leopold Wermer, wszedłszy z Ludwiką Wirską, w najbliższe stosunki, chciał ją uczynić tylko swoją nałożnicą obok żony, którą poślubił dla posagu, a wreszcie oporną porzucił, to trudno powiedzieć, ażeby postąpił wbrew „prawom serca.“ Owszem zdaje nam się, że im uległ. Opuszczona kochanka jedzie za granicę, kształci się, zostaje doktorką medycyny, wraca do kraju i znowu spotyka się ze swoim uwodzicielem, który uczuwa do niej dawną — miłość? Nie — tylko namiętność. Serce bowiem, napełnione miłością i rządzone jej prawami, nie odtrąca kobiety kochanej dla kury niosącej złote jaja. Wcale nas to nie dziwi, że Wermer, znudzony żoną, na widok pięknej, opromienionej inteligencyą swej ofiary lat młodych, która mu dała wiele rozkoszy, uczuwa do niej dawny pociąg i chciałby ją odzyskać, ale — mówiąc językiem fizyologicznym — poddaje on się prawom nie serca, lecz krwi. Dlaczegoż jednakże, nie mogąc przebłagać kochanki, zabija się z rozpaczy? Tego rodzaju zagadki bardzo łatwo wytłomaczyć poprostu — wolą autora.

Odrzućmy jednak wagę zbyt subtelną, która często zawodzi wobec ludzi. Większość ich bowiem składa się z mieszanin najrozmaitszego rodzaju, z pierwiastków sprzecznych i całkiem się wyłączających. Przypuśćmy, że bohater Zalewskiego nie był postacią jednolitą, w uczuciach swych mocną, w myślach głęboką, w czynach świadomą, ale że był to jeden z miliona owych mieszańców moralnych, którzy zdolni są zarówno do szlachetności i łajdactwa, do kochania i małżeńskiego handlu, którzy wtedy dopiero wiedzą, co zrobić powinni, gdy zrobią. Rzeczywiście tacy ludzie istnieją a Leopold Wermer może być ich przedstawicielem. Prawda życiowa nie przeszkadzałaby nam przyjąć go za typ czy okaz i uwierzyć w jego losy, gdyby autor istotę małą przeprowadził do końca swej sztuki jako małą i nie kazał jej nagle wyrosnąć na wielką. Gdyby Wermer, spotkawszy dawną kochankę, pojął wreszcie, kogo skrzywdził i porzucił, na kogo zamienił, gdyby jego głupie serce dojrzało w sobie nigdy niezagojoną ranę i z nią powoli zamarło — mielibyśmy dla niego nawet współczucie; tymczasem moralny karzeł z pierwszego aktu rozprawiający w ostatnim na szczudłach, z których skacze w przepaść śmierci, sprawia wrażenie zbyt teatralne.

Nie mniej naczelna myśl utworu pozostaje przykazaniem świętem: łączcie się według prawa serca.

Leopold i Ludwika idą przez życie na scenę rzucone w towarzystwie kilku figur pobocznych — wesołych i smutnych, których tu szkicować nie będziemy, gdyż są tylko dopełnieniami bohaterów głównych.

Ze wszystkich współczesnych pisarzów teatralnych Zalewski najlepiej zna warunki sceniczne i najumiejętniej w nich się porusza. I właśnie wobec tego talentu, stwierdzonego zresztą świetnie w wielu scenach obecnej sztuki, zdumiewa nadużywanie długich monologów i tyrad. Tej wady najmniej spodziewać by się należało od autora tylu utworów efektownych i znakomicie scenizowanych.

Aktorzy odegrali *Prawa serca* koncertowo. Zwłaszcza zaś pp. Marczello, Nowicki, Ładnowski i Frenkel zasłużyli na wdzięczność autora i oklaski słuchaczów.

A. P.

JÓZEF BLIZIŃSKI.

(Wspomnienie pozgonne).



Inteligentniejsi bywalcy teatru i czytelnicy pism peryodycznych mieli ciągle w tak świeżej pamięci blaski talentu i zasługi autora *Przezornej mamy*, *Marcowego kawalera*, *Pana Damazego* i innych pysznych komedyj — że właściwie wystarczyłoby donieść: Bliziński umarł. Skalą był to talent wielki, naturą — oryginalny. Jeżeli pisarze, używający formy dramatycznej i sceny dla walk umysłowych, dla rozsławienia pewnej idei lub rozwiązywania pewnych kwestyj, dla sporów i rozpraw, dla satyry lub apologii, mogą budzić w nas wątpliwość, czy teatr nie jest czasem przypadkowo wybraną przez nich areną, to Bliziński przekonywał każdym rysem, że dla niej się urodził. Jakie były jego przekonania filozoficzne, społeczne, religijne — nic nie wiemy. Żaden zapaśnik — a całą duszą artysta. Obserwując życie, nie dostrzegał w niem zagadnień, ale postacie i obrazy. Malarz — piórem. Przebywając głównie śród sfery ziemiańskiej, z niej czerpał swoje motywy, a chwytał znamiona i barwy charakterystyczne tak umiejętnie, składał je w tak żywe wizerunki, jakie tylko wielki talent stworzyć umie.

Urodził się (1827) w Warszawie, gdzie też odebrał gimnazyalne wykształcenie i zakosztował nieco „kursów prawnych.“ Następnie osiadł w majątku dziedzicznym około Włocławka i poświęcił się roli. Zaczął pisać dość późno. Pierwszą jego komedyą były drukowane w *Gazecie codziennej* (1860) „Imieniny.“ Po tym debiucie odpoczywał lat 11, gdyż dopiero w 1871 ogłosił w *Gazecie polskiej* „Przezorną mamę.“ Prędzej już potem wyszedł „Marcowy kawaler“ (1873), „Ojczulek“ („Uczciwi“), „Chleb ludzi bodzie“ („Mośkowe swaty“). W r. 1876 przeniósł się do Galicyi i tam kupił Bóbrkę, z której wydziedziczany powoli i przygnieciony kłopotami ustąpił przed 4 laty. Tu napisał „Pana Damazego“ (1877), „Męża od biedy“ (1878), „Rozbitków“ (1881), wreszcie „Szach i mat.“ Nadto do spółki z Z. Sarneckim opracował dwie komedye. Mniej wartościowe, chociaż zdradzające talent, są jego powiastki („Dziwolągi“ i „Nowe

humoreski"). Obok głównego kierunku swych prac miał poboczny — zajmował się dopełnieniem do słownika Lindego i wydał „Barberyzmy języka polskiego."

Straciwszy majątek, obciążony długami i niedostatkiem, osiadł w Krakowie, gdzie próbowano z niego zrobić urzędnika i dziennikarza. Ani do jednej, ani do drugiej roli się nie nadawał. Bieda coraz głębiej zapuszczała w niego swe szpony, powietrze miejskie dławiło, choroba osłabiała siły, w takich warunkach talent musiał zamierać. Targany chęcią dalszego pisania dla sceny i niemocą spełnienia swych zamiarów, ten wesoły twórca komedyi stał się bohaterem bolesnego dramatu. Zapewne, nie zszedł on do grobu młodzieńcem i w najlepszym układzie warunków nie mógł żyć długo, ale zrobił mniej, niż go stać było i poległ przedwcześnie.

Jako człowiek, promieniował serdecznem ciepłem, budził ogólną sympatyę i nie wsączał kwasu w stosunki literackie. Jako talent, błyszczał światłem własnem, swojskiem, miłem a potężnem. Jeżeli kto, to on miał prawo do dziedzictwa sławy po Fredrze, z którym łączyło go wiele pokrewieństwa. Teatr długo zdobić się będzie jego utworami i długo żałować, że mu ich już więcej nie dostarczy.

W.

ODCZYTY.

VI. Adolf Peplowski, *Człowiek-zbrodniarz.*

Człowiek-zbrodniarz, to przedmiot, który w oświetleniu nauki cały świat ukształcony dzisiaj zajmuje. Szkoła antropologiczna wciągnęła do swych szeregów poważnych uczonych, którzy długie lata trawią na pomiarach czaszek. Jedna z nich, morderczyni Marata, Karoliny de Corday, po upływie stulecia nie tylko doczekała się specyalnych badań, ale rozpraw osobnych, traktujących o niej. Badacze żywo się zajęli rozwiązaniem pytania, dla czego w chwili, kiedy tysiące ludzi podnieciło ducha i wyobraźnię jednakowym szeregiem wypadków, wspólną ideją się ożywiło, tylko jedna Karolina Corday nie drgnęła na szafocie i zmarła zupełnie spokojnie? Z pytania tego rodzi się nowe: idea, czy usposobienie skłania do zbrodni? Ktoś z tego powodu przypuszcza, że ideja, mająca na celu zbrodnię, może powstać i rozwinąć się na tle usposobienia do zbrodni. Taka odpowiedź, umieszczona pośrodku, ma gdzieś po obu stronach prawdę. Na odczyt p. Pepłowskiego może nie jeden szedł z tem przekonaniem, że się dowie coś o badaniach antropologów, pomiarach czaszek, że usłyszy popularyzowanie wyników dociekań w tym zakresie, że pozna charakterystykę różnorodnych postaci zbrodniarzy i ujrzy w zarysie warunków społecznych to tło, na którem zło konieczne się rozwija, pozna w końcu stan psychiczny istot, wykluczonych ze wspólnej biesiady, na której każdy z uczestników odpowiednią porcyę dóbr ziemskich, lub ich okruszyn spożywa. Jeżeli pewna grupa słuchaczów miała takie nadzieje, to się zawiodła. Prelegent zaznaczył swą niechęć dla szkoły antropologów kryminalnych, działania atawizmu, jako czynnika zbrodniczości, nie uznał wcale i przedewszystkiem starał się wykazać zależność zbrodni od wolnej woli. Skutkiem tego nie potrącił wcale o dowodzenia, zawarte w Tarde'a teoryi naśladownictwa, zamilczał o ekonomicznej szkole Colajanni'ego tudzież Guyau'a o hypotezie tak zwanej „suggestyi społecznej." Zbrodnia, jej geneza, oraz wytwarzające ją czynniki przedmiotowe i podmiotowe, nie zostały wcielone do nauki prawa karnego, lecz natomiast tworzą oddzielną część socyologii, nazwaną przez Colajanni'ego socyologią kryminalną, a przez Garofalo — kryminologią. Prawo karne, to właściwie szereg przepisów postępowania i zachowywania się grupy społecznej względem jednostek — zbrodniarzy. Ci ostatni „popełniają akt samowoli, wyłamują się z pod woli ogółu" i to jest czyn, surowo przez prawo karne potępiany. Notuje ono zatem sam fakt i po za jego granice nie wybiega, nie szuka przyczyn głębszych. Na szersze traktowanie przedmiotu prelegentowi między innemi nie pozwoliło zupełne lekceważenie atawizmu. Może to wynika z nieprzyjaznego usposobienia p. Pepł. dla szkoły antropologów i niedostatecznego jej zgłębienia. Przecież i ona atawizm uznaje tylko jako czynnik usposabiający do zbrodni. Może on w przyjaznych dla się warunkach silnie się rozwinąć lub, w przeciwnym razie — drzemać wiecznie na dnie natury ludzkiej. Badania poważne i liczne fakty stwierdziły to od oddawna. P. Pepłowski wypowiedział swój odczyt językiem ozdobnym, bogatym w porównania i zwroty retoryczne. Słowem, nie było to popularno-naukowe traktowanie „człowieka-zbrodniarza," ale raczej popis wybitnego mówcy-prawnika.

Zen. Piet.

NOWE OBRAZY.

I.

Daleko wcześniej, niż przyroda, zbudziła się z zimowej śpiączki sztuka i już obfite żniwo jej oglądać można we wszystkich trzech salonach. Takiego wogóle urodzaju na dzieła malarskie nie pamiętamy oddawna i nigdy chyba jeszcze nie tętniło w owych skromnych, gospodarskich galeryach takie miłe, zachwycające życie. Złożyło się na to sporo przyczyn: najpierw wiosna, wprawdzie krnąbrna i leniwa, ale dla nerwowej natury artysty zawsze podniecająca, po drugie zwiększony dzień, który ściągając zazwyczaj więcej ciekawych, skłonił jednocześnie zarządy do urozmaicenia ścian obrazami zagranicznymi, po trzecie konkurs *Tygodnika ilustrowanego*, jeden z najszczęśliwszych wogóle u nas pomysłów, wreszcie... wystawa w Chicago. W Towarzystwie Zachęty dał się nawet uczuć brak miejsca i niektóre płótna utonąć musiały w mroku niezbędnym dla należytego oświetlenia przybyszów grubszego kalibru. Inna to sprawa, czy podobnie macosze postępowanie z utworem drobniejszym dla dobra większego w obecnym wypadku zostało usprawiedliwione, ale grunt, że czuć puls i żywą przemianę materyi.

Skorzystano nawet ze zgiełku, ażeby zaprezentować ludziom rzeczy dawniejsze i raz już u nas okazywane, uzupełniwszy je tylko nowościami częściowemi, jak np. dodatkowe motywy cyklu już znanego. Tak się właśnie stało z obrazami Stachiewicza, które wystawił bardzo efektownie salon Krywulta. Doskonale sobie przypominamy, że w tem samem miejscu widniały one dwa lub trzy lata temu, aczkolwiek nie wszystkie i podpisane, zdaje się, pseudonymem. Trudno jednak z tego powodu czynić surowszy zarzut właścicielowi muzeum, albowiem nasz zmysł artystyczny, będący dopiero w pierwszym okresie rozwoju, może w ten sposób kształcić się i umacniać. Po za tem i same obrazy są widzenia warte i tak łatwo się nie uprzykrzą, ile że tematy ich należą do najciekawszych, najwdzięczniejszych i najpiękniejszych. Jest to bowiem życie wewnętrzne salin w Wieliczce, życie, któreby z łatwością dostarczyło Szeherezadzie wątku do tysiącznej drugiej nocy i cudownością swoją, czarodziejskiem oświetleniem, a nadewszystko prawdą, dla każdego oka dostępną, przewyższało opowieści i obrazy inne, baśniowe. „Słone jezioro" w głębokich czeluściach ziemi, pod wysokiem sklepieniem, które podtrzymują belkowe wiązania, to wyszukany romantyzm. „Komora kryształowa," czyli grota o stropie złożonym z olbrzymich kryształów soli, odbijająca zabłąkane skądciś promienie światła — to mieszkanie wróżek i nimf. Górnicy spuszczani na windzie w czarną i długą gardziel kopalni, którą oświetlają krwawym płomieniem pochodni, mkną, rzekłbyś, na zatracenie, toną w obłoku groźnie czerwonym i kłębach purpurowego dymu i tworzą iście „Piekielną jazdę." „Kaplica św. Antoniego" i „Odpoczynek górników" piękne są swym światłocieniem, fantastycznemi odbiciami figur i pewnym smutnym nastrojem, na którego widok przychodzą na myśl żałosne katakumby pierwszych chrześcian. Świat to dziwny, odrębne budzący współczucie, z podziwem zmieszane. A jeśli nie jest on takim w rzeczywistości i tylko malarz patrzył nań przez szkła osobistego liryzmu i odtworzył go w tonacyi minorowej, tem większa jego zasługa, bo liryzm to gatunku dobrego. Poetyczną zwłaszcza jest „Legenda o zasypanym górniku," któremu wychylający się z obrazu Chrystus podaje chleb. Podanie rzewne i wysoce artystyczne, samo prosiło się o pędzel, a Stachiewicz odczuł je i dobrze oddał w łagodnej, litościwej twarzy Zbawiciela i kornej, pobożnie namaszczonej i nieśmiałej postaci górnika.

Wpatrując się w te mary i widziadła, doznajemy wrażenia, w którem bardzo niewiele jest owej znamiennej przyjemności malarskiej. Oceniamy i odczuwamy sentyment, ale o technice wykonania nie możemy sobie wyrobić pojęcia. Prawdę przesłania oświetlenie dioramiczne zapomocą lampek, działających na główne ogniska światła malarskiego. Pogłębia ono perspektywę, ożywia i poprawia rozkład jasności i mroku, słowem, wyposaża płótna w zalety, które prawdopodobnie w innych, zwykłych warunkach, okazałyby się znacznie mniejszemi. Jest to, bądź co bądź, sztuczka, tem gorsza, że zastosowana wbrew niektórym intencyom obrazów. Gdy na nich światło rozchodzi się np. z prawej strony i z planów tylnych i wskutek tego cienie przypadają na lewe strony przedmiotów — lampki są ustawione przed planem pierwszym i po stronie lewej. Wynika stąd wielce zabawna optyka, coś w rodzaju podwójnej buchalteryi, nie pozwalającej rozeznać i ocenić logiki światłocienia. Niekiedy znów nieszczęsne te kaganki bez potrzeby osłabiają złudzenie i uwydatniają smugi farby i poruszenia pędzla. W takiej, dajmy na to, „Piekielnej jeździe," zamiast lotnych i nieuchwytnych kłębów świetlnego dymu — widać pędzlowanie, pozbawione w dodatku blasku.

W ostatecznym wyniku powiemy, że najwięcej nam się podoba „Pogrzeb górnika," wystawiony bez upiększeń i warunków latarni czarnoksięzkiej. Tutaj stajemy przynajmniej z malarzem oko w oko, widzimy sumienne i pracowicie oddaną ceremonię, w której jest powaga, żałoba i poezya. Ustawieni szeregiem robotnicy w odświętnych sukniach doskonale wyrażają cześć dla majestatu śmierci. Czujesz, że to żołnierze żegnający towarzysza w ciężkim boju. A pomimo to całość jest spokojna, nie rozmazana nazbyt miękkim żalem.

Sam sposób malowania razi na wszystkich tych płótnach pewną twardością; swobody, lekkości dotknięcia, która tyle wdzięku zwykle dodaje i tyle smaku obrazom nowej daty — nie masz w niej nic a nic. Zdaje się, że p. Stachiewicz za dużo pracuje ołówkiem, a stosunkowo za mało pędzlem i stąd owo wymęczenie w jego studyach zawieszonych naturalnie. Jest to zdolny i uczuciowy ilustrator; lubi i umie nadawać kolor i kształt ludowej poezyi;

pierwiastek rzewności i nieraz prostoty stanowi jego silną stronę. Dotąd przynajmniej nie widzieliśmy w nim tej twórczości rodzaju wyższego, która polega na podpatrywaniu w naturze i na jawie motywów samoistnych, całostkowych a pięknych bez względu na swą przydatność dla pisma ilustrowanego. Gdyby mu się zdarzało malować i rysować nie tylko z powodu nadchodzącego święta, które wymaga okolicznościowego obrazka dla gawiedzi i redakcyi, i niezależnie od tego, czy przedmiot zaciekawia czy nie, niewątpliwie odkryłby dokoła siebie dostateczną ilość motywów żyjących własnem życiem. Legenda, marzenie, baśń, „aktualność“ wytwarzają manierę, która w potrzebie, gdy chodzi o życie prawdziwe, staje się kulą u nogi. Pan Stachiewicz rozumie snadź książki i opowiadania, ale nie rozumie natury. Stąd jego ludzie i przyroda są *robione* a nie *stworzone*. Nie mają swobody ruchu, nie stoją, ale się trzymają, są z kamienia lub z drzewa, ale nie z żywego, elastycznego ciała, męczą się własnem istnieniem na płótnie i z rozkoszą wróciłyby, skąd przyszły: na paletę i do banki z farbą.

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Lwów, 24 kwietnia.

Zadania sejmu.

Mamy pod ręką kilkanaście przedstawień na zbliżający się sejm krajowy. Wybieramy z nich ważniejsze, zaczynając od szeroko rozbieranej sprawy budowy kolei miejscowych w Galicyi. Rząd po świetnej mowie posła Witolda Lewickiego przystąpił do budowy kolei podolskich, obecnie chodzi o sieć krajowych.

Słusznie odróżnia profesor kolejnictwa, R. Gostkowski, drogi żelazne zbudowane w celu wywozu lub przewozu płodów krajowych. Wprawdzie kolej państwowa jest zarazem i krajową, a ta ostatnia może być w danym razie państwową. W istocie jednak są to dwie różne rzeczy.

Właściciel dóbr utrzymuje karetę na cztery osoby dla objazdu swych wsi z urzędnikami. Objazdy takie przypadają może tylko raz do roku, ale są potrzebne, kareta jest przeto konieczna. Gospodarz, któremu oddano wieś w dzierżawę z warunkiem utrzymywania karety w dobrym stanie, aby była na usługi w razie przyjazdu właściciela, ma wprawdzie prawo używania jej dla swych codziennych objazdów; we własnym interesie jednak z prawa tego nie korzysta, bo wie dobrze, że utrzymanie czwórki potrzebnej do ciężkiej landary kosztuje nierównie więcej, niż zwykły wózek, którym można pola objechać. Kareta konieczna dla właściciela nie odpowiada wcale celom dzierżawcy. W tym obrazku przedstawia kareta kolej da celów ogólnopaństwowych a właściciel dóbr — to rząd; jednokonka to kolej miejscowa, a dzierżawca — to mieszkaniec kraju.

Dodajmy, że karetą dojechać można do główniejszych tylko punktów, że więc miejscowości leżące na uboczu są dla niej niedostępne. Kareta i wózek są potrzebne, ale każde w swoich warunkach, zastąpić jednego drugiem nie można.

Chociażby nawet interesy państwowe zgadzały się z ekonomicznymi co do potrzeby połączenia koleją dwu miejscowości, to przecież budowa kolei będzie różna zależnie od tego, czy rozstrzygają względy strategiczne, czy ekonomiczne. Kolej strategiczna pójdzie drogą najkrótszą, miejscowa zaś wężykiem, dotykając wszystkich miejsc produkcyi. Z tego, że koleją państwową przewozić można także płody rolnicze, nie wypływa wcale, jakoby ona nadawała się do ruchu miejscowego. Z talerza można także pić, a przecież nikt nie twierdzi, że talerz jest odpowiedniem naczyniem do picia. Ponieważ punkty, nie leżące w linii prostej, lecz w silnie zakrzywionej, rzadko tylko dadzą się z sobą połączyć koleją zwykłą, bo ona ma tor za szeroki, obsługa zatem ruchu lokalnego wymaga kolei z inną szerokością toru. Jeżeli szwaczka ma obszyć deseń zawiły, to weźmie tem węższą taśmę, im bardziej zakrzywiają się kontury desenia, bo wie dobrze, że ostre skręty tylko wązką obwieść się dają.

Podobnie ma się rzecz z koleją. Oddalenie od siebie owych pasm szyn, tworzących to, co nazywamy torem, zabiera pas gruntu, będącego niejako ową taśmą, którą obwieść mamy kontury linii łączącej z sobą folwarki, młyny, tartaki, gorzelnie, kamieniołomy, browary itp.

Kolej wązkotorowa żadną miarą nie może być urządzona według wzoru dzisiejszych naszych kolei. Administracya gospodarczej musi uwzględniać zwyczaje mieszkańców, być rzutką i szybką w swoich czynnościach, nabrać owej gibkości, jaką się odznaczają instytucye handlowe; byłoby więc błędem powierzyć ją zarządowi kolei głównej. Szerokość toru nie jest więc sprawą techniczną, ale ekonomiczną. Monarchia i kraj nasz zarówno potrzebują kolei, lecz cele, do których dążą, są zasadniczo różne.

Cała tedy polityka Galicyi powinna być skierowaną nie do tego, aby za nasze pieniądze budowano jak najwięcej kolei państwowych, ale raczej do tego, aby przy pomocy państwa powstały drogi miejscowe.

Wydział krajowy przygotował także do przedstawienia sejmowi projekt ustawy budowniczej dla wsi i miasteczek. Jest to przedmiot doniosłego znaczenia dla kraju, głęboko wnikający we wszystkie stosunki życia codziennego przeszło pięciu milionów mieszkańców, lecz właśnie dla tego nie da się załatwić zadawalająco. I to jest powodem, że chociaż znajdował się on już parę razy na porządku dziennym obrad sejmowych, nigdy nie mógł doczekać się stanowczego wyniku, i teraz w trzydziestym drugim roku istnienia sejmu nie zdołają nasi ojcowie rozwiązać węzła gordyjskiego nędzy. Pod wpływem tej ustawy — zapewniają jej wielbiciele — zmieni się typ naszych mieszkań, zniknął kurne chaty, izby zatęchłe z podłogą na równi z poziomem gruntu, na którym budynek stoi, znikną okienka mniejsze, niż w krajach ucywilizowanych mają stajnie; przymusowo mają też być oznaczone minimalne wymiary okien i drzwi, tudzież wysokość izb mieszkalnych, ażeby zapewnić dostateczną ilość światła i powietrza dla mieszkań ludzkich.

W nizkich, wilgotnych, ciemnych, dusznych i brudnych chatach żyje u nas blisko 80% ludności. Jeżeli przeto przyjdzie do skutku ustawa, zdążająca do tego, ażeby mieszkania najliczniejszej masy ludności odpowiadały najkonieczniejszym warunkom zdrowotności i ażeby możliwem było utrzymać w nich i około nich porządek, będzie to reforma dla wsi i miasteczek „żywotna“ w literalnem znaczeniu tego wyrazu. Ustanowienie kontroli władz publicznych nad konstrukcyą większych budynków jest również ważną reformą. Pod tym względem panuje u nas nieznana innym ucywilizowanym krajom dowolność. Dziwnem tylko jest postanowienie, orzekające, że zakres działania, przyznany zwierzchności gminnej, ma w posiadłościach dworskich przysługiwać „przełożonemu obszaru dworskiego.“ To znaczy, że bezpośrednio interesowany właściciel lub jego oficyalista mają działać w charakterze organu publicznego.

Do spraw, które będą przedmiotem obrad sejmowych, należą także ulepszenia gruntowne. Ponieważ przemysł i handel w kraju naszym tak mało się dotychczas rozwinęły, a rolnictwo, zatrudniając trzy czwarte ludności, jest główną gałęzią produkcyi, podniesienie dobrobytu ogólnego zależy więc przedewszystkiem od przyśpieszenia postępu produkcyi rolniczej. Wobec zmienionych stosunków, spowodowanych szczególnie zniżeniem cen zboża przez konkurencyę Ameryki i Rosyi, pozostaliśmy przy systemie ekstenzywnym gospodarstwa, który się najczęściej nie opłaca, gdyż koszty są za wysokie w stosunku do wartości rezultatów. Podniesienie wydajności naszych gruntów, przy obniżeniu kosztów wytwarzania, pomnożyłoby czysty zysk rolnika i tem samem wzmogłoby dobrobyt najliczniejszej warstwy ludności. Nadto zwiększona produkcya płodów surowych wywołaćby musiała powstanie rozlicznych fabryk dla przerabiania ich, innemi słowy, wpłynęłaby ożywczo na rozwój dotychczas drzemiącego u nas przemysłu. W następstwie tego wzrósłby także handel krajowy, dziś ograniczony do szczupłych rozmiarów wskutek niedostatecznej produkcyi i małej zamożności konsumentów.

Podniesienie rolnictwa jest więc punktem wyjścia w pracy organicznej około podźwignięcia dobrobytu ogólnego, zwłaszcza jeżeli się zważy, że z jednej strony ludność z każdym rokiem bardziej, niż w innych krajach wzrasta, a z drugiej — nie zwiększa się odpowiednio produkcya. Następstwem tego jest zjawisko, że ceny ziemiopłodów od paru lat u nas są wyższe, niż w stolicy, że ludność szuka zarobku gdzieindziej, że często ziemia w obce przechodzi ręce, gdyż dotychczasowy właściciel przy zastarzałym systemie gospodarstwa i niedostatecznych z niego dochodach utrzymać się na niej nie może. Technika rolnicza, która w ostatnich czasach nadzwyczajne uczyniła postępy, podaje rozliczne środki ku podniesieniu produkcyi. Najważniejszym z nich są melioracye gruntowe. Doświadczenia wszakże poczynione za granicą przekonały, że wykonanie tych melioracyj przez samych właścicieli lub przedsiębiorców prywatnych nie osiągnęło zamierzonego celu, a to najczęściej wskutek braku umiejętnego wykonania. Słusznie tedy domagają się dziś wydziały Towarzystw gospodarczych, aby ulepszenia rolnicze prowadzone były przez fachowych inżenierów.

Bank krajowy przystępuje po raz pierwszy do większego przedsięwzięcia, które w całym kraju, a głównie w sferze wielkiej własności ziemskiej budzi zajęcie. Jest to projekt parcelacyi klucza zbarskiego, obejmującego piętnaście folwarków o 11,220 morgach gruntu. Właścicielka tego pięknego majątku, księżna z Lubomirskich de Ligne, nie mogąc utrzymać go w rodzinie, a obawiając się, izby nie doznał złych losów, użyła pośrednictwa instytucyi krajowej, która z planem należycie obmyślanym ma spełnić to zadanie. Dla banku krajowego jest tu w grze zasadnicze pytanie, czy ma on zajmować się drobieniem wielkich dóbr ziemskich. W zapatrywaniach na kwestyę parcelacyi zachodzą bowiem w kołach najbliżej interesowanych, tj. pomiędzy właścicielami wielkich posiadłości, głębokie różnice zdań. Już podczas zeszłorocznej sesyi sejmowej wywiązał się spór o to. Nie ulega przeto żadnej wątpliwości, że w tym roku kwestya zbaraska wywoła nowe spory. W tych dniach mieliśmy próbkę starcia zdań na tle parcelacyi. Mianowicie na walnem zgromadzeniu krakowskiego Towarzystwa rolniczego wystąpił hr. Mycielski. Rozprawa nad tym

przedmiotem była długa i żwawa; lecz niestety, nie można powiedzieć, ażeby była równie owocną. Wnioskodawca, sięgnąwszy do tabel statystycznych Blocha, wykazujących ciężkie położenie własności ziemskiej w Królestwie Polskiem, starał się udowodnić, że zarówno tam, jak i w Galicyi parcelacya przedstawia jeden z najskuteczniejszych środków „ratunku.“ Nic dziwnego, że takie postawienie kwestyi z góry źle uprzedziło większość zgromadzenia, złożonego ze szlachty. Przeciwnicy dowodzili, iż teraz właśnie wielka własność ziemska Galicyi pod względem materyalnym znajduje się w lepszem położeniu. Kilkoletnie urodzaje, podniesienie się cen zboża przez korzystne dla rolnictwa traktaty handlowe, wzrost wartości ziemi przez sieci dróg lepszych i kolei żelaznych, oraz wogóle przez wzrost kultury w kraju, głównie zaś wykup propinacyi, przeprowadzony w sposób korzystny dla interesowanych — wszystko to składa się na coraz pomyślniejszy byt wielkich właścicieli. Trudno zresztą zaprzeczyć, że w ostatnich czasach wzmaga się istotnie pomiędzy szlachtą energia w walce życiowej. Jak dawniej życie bez rachunku było regułą po dworach, tak teraz przeciwnie, oszczędność staje się modą, a gospodarność i zapobiegliwość weszły do szeregu cnót koniecznych, od których zależy utrzymanie się rodów swojskich przy dziedzictwie. Opinia publiczna potępia teraz surowiej, niż dawniej życie hulaszcze, więc ten i ów z uczestników Towarzystwa rolniczego obruszył się, gdy zaczęto mówić o rozpaczliwem położeniu szlachty. Kto zdrów, ten nie lubi słuchać o lekarstwach. Więc też i ci zgromadzeni, którzy materyalnie stoją na silnych nogach, przeszli do porządku dziennego nad wnioskiem, zalecającym amputacyę na ich fortunach. Lecz jakikolwiek był wynik rozpraw, nikt nie obalił jednak zdania, iż w takich wypadkach, w których chodzi o utrzymanie rodziny przy ojcowiźnie, lepiej pozbyć się części jej dla uratowania reszty, niż stracić wszystko i że ostatecznie lepiej byłoby, ażeby zagony nasze zabierał Maciek, niż Mosiek. Nadto kwestya parcelacyi może być uważana nietylko za sposób ratowania zagrożonej ruiną wielkiej własności ziemskiej, ale także przy zbyt rozległych obszarach gruntowych za środek ułatwiający gospodarstwo intenzywne. Tymczasem z tej strony nie oświetlono sprawy na zgromadzeniu krakowskiem, lecz ograniczono się wyłącznie do wyklinania parcelacyi. I w sejmie zetrą się z sobą te dwie opinie. Lecz jak w przedmiocie podzielności gruntów włościańskich, tak i w tym spór rozstrzygną w ostatniej instancyi nie osobiste zapatrywania, ale życie samo, a rozstrzygnie go na stronę tych, którzy ze stosunkami rzeczywistymi liczyć się chcą i umieją.

Prościcki.

PAMIĘTNIK.

Towarzystwo ogrodnicze.

Towarzystwu ogrodniczemu w jednym kierunku trzeba przyznać żywotność i energię — w kierunku wystaw. Zeszłego roku urządziło ono bardzo kosztowną w Łodzi, obecnie zamierza urządzić wystawę przetworów warzywnych i owocowych w Warszawie. Będzie ona w wydatkach dość skromną, gdyż wyznaczono na nią tylko 300 rs. Jeden z członków zalecał zbytkowniejszą, która pochłonęłaby około 3,000 rs., ale bardzo słusznie upadł ze swym wnioskiem. Kraj nasz bowiem, w porównaniu z Europą zachodnią, znajduje się pod względem hodowli owocowej na bardzo nizkim poziomie, cóż dopiero mówić o przetworach! Każdy naród posiada jakiś rodzimy, powszechnie spożywany napój, wyrabiany z soków owocowych — my nie mamy żadnego. Pijemy to, co wytworzyły inne społeczeństwa — piwo, wino, koniak itd. Nawet miód zarzuciliśmy. Istnieje wprawdzie u nas legendowy jabłecznik i wina agrestowo-porzeczkowe, ale produkowane są w bardzo małej ilości, a do handlu wchodzą pod obcemi nazwami. Przed kilku laty p. Jankowski w jednym z *Kuryerów* wystąpił z objaśnieniem, że drogo przez nas płacone Sauterny, Yquemy itp. nie pochodzą wcale z Francyi, ale z nad Wisły i nie z winogron, ale z agrestu i porzeczek. Jeżeli to jest prawdą, w takim razie, pomijając kwestyę oszustwa, mamy w tym fakcie wymowny dowód naszego niedołęztwa. Zamiast bowiem otrzymywać tanio produkt krajowy, przepłacamy go pod nazwą obcą. Niejeden gość Stępkowskiego lub Boqueta, rozkoszujący się mniemanym Sauternem, odtrąciłby go z pogardą, gdyby wiedział, że jest to zwyczajny agrestnik lub porzecznik. A tymczasem rumieniec wstydu powinienby nam oblać twarz na myśl, że pozwolimy się okpiwać i okpiwamy się sami jak dzieci, w które wszystko wmówić można.

Miejmy przynajmniej nadzieję, że kiedyś wyrośniemy z tej niedojrzałości. To też kwestya zużytkowania owoców na przeroby napojowe i wytworzenie produktu swojskiego, któryby był zdrowym, smacznym, powszechnie używanym i nie wstydził się swego pochodzenia, jest pierwszorzędną sprawą ekonomiczną. Czy zamierzona przez Towarzystwo ogrodnicze wystawa okaże nam zaczątki takiego produktu i nowej gałęzi przemysłu? Zobaczymy. W każdym razie nie należy tego celu spuszczać z uwagi i trzeba zbliżać się do niego rozmaitemi drogami: nietylko zapomocą prób odpowiedniej fabrykacyi, ale także zapomocą zachęcania do hodowli owoców i ułatwiania im zbytu. Dotychczas bowiem kręcimy się w błędnem kole: kraj za mało wytwarza owoców nawet na dotychczasowe swoje potrzeby, jednocześnie producenci skarżą się, że nie mają ich gdzie sprzedać bez straty; rozwój przerobów jest możliwy tylko przy obfitości materyału, a materyałowi brak źródeł i utorowanych dróg rynkowych. Jak wyjść z tego koła? Na wniosek p. Jankowskiego Towarzystwo uchwaliło przed paru tygodniami przyjęcie na siebie pośrednictwa w sprzedaży owoców, nadsyłanych mu przez członków. Jest to pierwszy i bardzo ważny krok ku zmianie obecnych, nader pierwotnych stosunków. Wszystkie książki, artykuły, pogadanki, namowy do zakładania ogrodów nie osiągną skutku w szerszym zakresie, dopóki hodowca nie będzie miał jakiejkolwiek pewności, że towar swój sprzeda lepiej, niż wydzierżawiając sad żydowi. Rzeczywiście wprzódy musi istnieć produkt, a potem rynek. Ale gdy pierwszy nagromadził się już w pokaźnej ilości, trzeba myśleć o drugim. I dlatego działalność Towarzystwa pod tym ostatnim względem wydaje nam się bardziej doniosłą. Niech tylko będą przełamane pierwsze lody, dalsze fala uniesie. *P.*

Koncert Lutni.

Chóry męzki i żeński, orkiestra Towarzystwa muzycznego, król smyczkowy Barcewicz, p. Pankiewiczowa — takie siły przyjęły udział w ostatnim koncercie Lutni. Ułożył on swą wiązankę przeważnie z utworów swojskich — Moniuszki, Żeleńskiego, Noskowskiego, Wieniawskiego, do których dodano kompozycye Bacha, Gounoda, Schumana i Vieuxtempsa. Część wokalna składała się niemal wyłącznie z drobnych pieśni — ładnych, rzewnych, umiejętnie wykonanych, ale niezadawalających potrzeby usłyszenia czegoś większego. Wogóle rzec można, że nasza Lutnia przypomina drzewa, które w młodości rosną bardzo szybko, a w późniejszym wieku bardzo wolno. Od pewnego czasu nie widzimy w jej popisach wyraźnego rozwoju; a jeżeli posuwa się naprzód, to ruch jej dla niewtajemniczonych jest prawie niewidoczny. Pomimo zaś niewątpliwych postępów, ma ona jeszcze do przebycia długą drogę, zanim będzie mogła się nazwać pierwszorzędnem stowarzyszeniem śpiewaczem. *W.*

Wymowny obrazek.

Odbieramy z Łodzi list następujący:

Przed dwoma miesiącami zdarzył się wypadek, wymownie charakteryzujący tutejsze stosunki, a zwłaszcza samowolę, jaka panuje w fabryce tuza niemiecko-żydowskich potentatów, I. Poznańskiego. Ponieważ wypadek ten nie dość ściśle przedstawiony został przez jedno z pism warszawskich, więc proszę o miejsce dla ciekawego a całkiem realnego obrazka w łamach *Prawdy*. Nadmieniam, że farb dostarczyła mi przeważnie rozprawa sądowa. Istnieje przy tej fabryce t. z. straż ogniowa, która rzeczywiście gasi pożary, ale zarazem pełni rolę jakiejś władzy karno-śledczej. Ile razy w fabryce zdarzy się jakieś przestępstwo, winnych lub podejrzanych, przed oddaniem ich sądowi państwowemu, bierze w swe ręce naprzód ta straż i poddaje ich takim operacyom, że ją za tę energię pociągnięto już dawniej do odpowiedzialności. Przed dwoma miesiącami skradziono w fabryce kawał miedzi. Złapani na gorącym uczynku dwaj chłopcy uwikłali w tę sprawę trzech innych, z których najstarszy liczył lat 21. Między ostatnimi znajdowało się dwu synów uczciwej a zbiedniałej rodziny, z których szczególnie jeden odznaczał się wielką inteligencyą, pracowitością i czystością charakteru. Mimo młodego wieku był on już pomocnikiem majstra. Ponieważ zwierzchnicy i towarzysze nie mogli uwierzyć, ażeby on dopuścił się kradzieży, ponieważ cieszył się ogólną sympatyą a nadto wraz z bratem utrzymywał matkę i sześcioro rodzeństwa, więc zbudził powszechne współczucie. Dyrektor i chemik fabryczny, którzy go dobrze znali, zwrócili się do pp. Poznańskich, ażeby widocznie niewinnego wyłączono ze sprawy, ale starania te były daremne, zwłaszcza że chłopiec poddany skutecznemu badaniu straży ogniowej, miał przyznać się do przestępstwa. Wreszcie wszyscy oskarżeni stanęli przed sędzią pokoju. Wyparli się oni zarzucanego im czynu, zeznawszy, że przy śledztwie strażacy fabryczni bili ich i kopali przy zamkniętych drzwiach i spuszczonych żaluzyach. Wtedy sędzia przypomniał powodowi (t. z. gospodarzowi domów fabryki), że niedawno rozpoznawał sprawę, w której taż sama straż ogniowa oskarżana była o znęcanie się nad robotnikami.

— Jeżeli — rzekł sędzia — posiadają w obrębie fabryki całkowity aparat prawny, jeżeli sami śledzą, biciem wymuszają zeznania i karą, to po cóż im sądy państwowe? Czy jednak tego rodzaju działalność jest zadaniem straży ogniowej?

Na to gospodarz odpowiedział niby zaprzeczeniem i niby objaśnieniem. Zeznania świadków strony skarżącej stwierdziły poniekąd samowolę straży. Ciekawy był przytem ujawniony fakt, że dla uzyskania dowodu winy żydówki, która miała kupować miedź, dano kawałek metalu chłopcu, kazano mu pójść do niej i *koniecznie* sprzedać, inaczej będzie ukarany. Chłopiec polecenie to wykonał. Nareszcie stanął jako świadek chemik fabryczny, który złożył jak najkorzystniejsze zeznanie dla dwu wspomnianych wyżej chłopców, oddając najwyższe pochwały charakterowi jednego z nich, z którym miał ciągłe stosunki. Zeznania swoje poparł świadek listem głównego zwierzchnika oddziału. Skutkiem tych wyjaśnień i wszelkiego braku dowo-

dów winy sędzia uwolnił od kary wszystkich oskarżonych z wyjątkiem dwu złapanych na kradzieży.

Dla chorych na oczy.

Śród inteligencyi panuje powszechne mniemanie, że największy procent chorych na oczy znajduje się w tych warstwach, których charakter zajęcia wymaga natężenia wzroku. Jeżeli chodzi o krótkowzroczność, to istotnie tak jest. Do wytworzenia tej wady od dzieciństwa przyczynia się szkoła, następnie praca biurowa i nocna. Inne natomiast cierpienia, grożące zupełną utratą wzroku najbardziej się rozwinęły śród mas pracujących fizycznie w fabrykach, gdzie kurz, dym, czasem nadmierne światło z pieców, wyczerpanie całego organizmu, liche odżywianie powodują ciężkie cierpienia oczu, gdy do tego dołączy się jeszcze lekceważenie zdrowia, używanie leków znachorskich i brak dobrej pomocy lekarskiej — będziemy mieli sumę warunków, wytwarzających w warstwach robotniczych o wiele więcej chorób ocznych, niżeli śród sfer ukształconych. Mieliśmy sami nieraz sposobność oglądać w wioskach bardzo dużo zarówno dzieci, jak i osób dorosłych, podlegających takim cierpieniom. Wobec tego zasługuje na uwagę wielkie obecnie zainteresowanie się tą sprawą Towarzystwa opieki nad ociemniałymi w Petersburgu. Jeszcze w końcu roku zeszłego dr. Mitkiewicz przesłał owej instytucyi specyalny memoryał, w którym położył szczególny nacisk na to, że ludność włościańska w całem państwie zupełnie jest pozbawiona okulistycznej pomocy lekarskiej, szczególnie pod względem zabezpieczenia od ślepoty, tudzież usuwania zawczasu możliwości tego kalectwa. Projektodawca radził urządzić małe szpitale ruchome, w których ludność mogłaby zasięgać porady i poddawać się koniecznym operacyom. Towarzystwo całkiem się przychyliło do tego wniosku i zanim nastąpi proponowana stała organizacya lekarska, postanowiono stworzyć z ochotników-okulistów cztery oddziały ruchome, które z nadejściem lata rozpoczną czynności próbne na prowincyi w różnych miejscowościach. Na dr. Mitkiewicza również włożono obowiązek utworzenia jednego z takich oddziałów. *Dr.*



SPRAWY EKONOMICZNE

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Przemysł fabryczny. Przygotowywanie towaru na sezon zimowy w Łodzi idzie ciągle i nadzieje pomyślnego przebiegu są uzasadnione. Ceny jednak wyrobów wełnianych poszły w górę, a prawdopodobnie podniosą się jeszcze. Wpłynie na to drożejąca wciąż wełna czesankowa, która szczególnie po ostatniej „aukcyi“ londyńskiej podskoczyła aż do 25 rs. za paczkę. Jaki wpływ wywrze na rynek tutejszy spodziewana „aukcya“ berlińska, jeszcze nie wiadomo. Zadeklarowano już 13,000 cent. wełny. Fabryki miejscowe odczuwają brak tkaczów, nie przyjmują zamówień na wyroby z wełny czesankowej wcześniej, niż na lipiec. Wypłaty za towary wzięte w sezonie letnim dotąd szły dobrze; na niemałe jednak straty naraża fabrykantów upadłość kilku firm z różnych miast Cesarstwa. Dzień roboczy skrócono już obecnie w sześciu zakładach. Wielkiego przewrotu w fabrykach łódzkich i powiatu dokonało wprowadzenie w czyn wydalenie 106 majstrów i techników, niewładających językiem polskim i ruskim. „Pokazało się, że takich majstrów i techników krajowców mamy dosyć — pisze *Tydzień piotrkowski* — i że bez wielkich trudności fabrykanci dadzą sobie z nimi radę. Znamy takich, którzy oczekując oddawna na wyższą posadę, odrazu doszli do stanowisk znacznie wyższych, niż te, o które od lat kilku daremnie kołatali. Jest to najbliższa ale bynajmniej nie jedyna i nie najważniejsza korzyść, jaką kraj odniesie z usunięcia majstrów zagranicznych. Majstrowie i technicy krajowi nie zamkną wrót wiedzy przed młodzieżą naszą, kształcącą się w kierunku fachowym. Wielu też młodzieńców, którzy się nie brali do tego rodzaju pracy w obawie napotkania nieprzezwyciężonych trudności, obecnie się do niej zabierze, za czem w dalszej przyszłości przyjdzie niezawodnie i zakładanie fabryk miejscowych i zużytkowywanie wielu leżących dotąd kapitałów na cele przemysłowo-fabryczne. W Markach pod Warszawą gromadzi się coraz większa liczba robotników fabrycznych. Przędzalnia wełny zatrudnia około 2,500 robotników, łącznie zaś z rodzinami liczba mieszkańców w kolonii fabrycznej przewyższa 6,000.

Urodzaje i ceny. *Warsz. gub. wied.* na zasadzie raportów naczelników powiatowych streszczają następujące dane. W zimie ubiegłej śnieg pokrył ziemię już zmarzłą, skutkiem tego oziminy z nielicznymi wyjątkami prawie wcale nie ucierpiały. Z powodu wielkich mrozów przemarzły kartofle, złożone w kopcach źle urządzonych. (W stawach i sadzawkach płytkich posnęły wszystkie ryby). Ludność bezrolna znajdowała w ciągu zimy zarobek: w cukrowniach, gorzelniach, przy rąbaniu lasów i oczyszczaniu ze śniegu plantów kolejowych. Przewidywany jest w tym roku obfity urodzaj owoców (wiśni, śliwek, gruszek). Zboże i pasza są tańsze, aniżeli na wiosnę roku zeszłego. Ceny niektórych produktów są rozmaite; znaczna różnica w pewnych miejscowościach nie daje się niczem usprawiedliwić. Cena np. korca kartofli w pow. nieszawskim i włocławskim 90 kop., podczas gdy w pow. błońskim na targach: w Żyrardowie i Wiskitkach od rs. 3 k. 20 do rs. 4 k. 40.

Bazar rzemieślniczy. W tych dniach otwarto bazar rzemieślniczy w domu hr. Zamoyskiego przy placu Bankowym. Pierwsze towary nabyto od tkaczów z Pabianic, Tomaszowa i innych miejscowości fabrycznych. Osobny dział zajmują wyroby pracy kobiecej. Obszerniej pomówimy o tej instytucyi osobno.

— Z 250 posad inspektorów poboru podatkowego od mieszkań, 28 przypadnie na Królestwo Polskie: cztery w Warszawie, dwie w Łodzi ze Zgierzem, 20 na gubernie, z siedliskami: w Warszawie, Kutnie, Kaliszu, Koninie, Piotrkowie, Łodzi, Kielcach, Miechowie, Radomiu, Sandomierzu, Lublinie, Chełmie, Jedlińsku, Białej, Płocku, Mławie, Łomży, Pułtusku, Suwałkach, Kalwaryi; dwie do pomocy w gub. warszawskiej i piotrkowskiej, z zamieszkaniem jednego urzędnika w Częstochowie, drugiego w jednem z miast gub. warszawskiej. Na każdego inspektora w Warszawie wypadnie po trzy cyrkuły, na prowincyi — po 3—5 powiatów, lub kilka miast z ogólną liczbą ludności 100,000. Zadaniem inspektorów będzie kontrola czynności komisyj podatkowych, utworzonych z mieszkańców. (*Kuryer warsz.*).

— W Petersburgu utworzyło się Towarzystwo akcyjne dla eksploatacyi ławic perłowych w gub. ołonieckiej. W kilku rzekach znajdują się perły nieduże, cenione jednakże 1—20 rs. za sztukę (Dzienniki petersburskie).

— *Peterb. wied.* donoszą, że w r. b. dla utrzymania cen w normalnej wysokości, zamierzono przywieźć do Rosyi z zagranicy około miliona pudów cukru.

— W departamencie handlu i rękodzieł poruszono sprawę utworzenia na głównych rynkach zagranicznych biur komisowych dla sprzedaży zboża, pochodzącego z Rosyi.

— *Grażdanin* donosi, iż projekt urządzenia administracyj, dla uniknięcia niepotrzebnych ogłoszeń upadłości, w Petersburgu, Moskwie, Warszawie, Kijowie i wogóle wszystkich miastach, gdzie działają komitety giełdowe przyjęto w Radzie państwa, z tem wszakże ograniczeniem, że urządzenie takich administracyj dozwolone jest „w obszernych interesach handlowych i fabrycznych.“

— *Peterb. wied.* donoszą, iż w ministeryum spraw wewnętrznych złożono projekt ustawy towarzystwa komisowego fabrykantów i kupców, które ma być pośrednikiem pomiędzy fabrykantami zagranicznymi a nabywcami wewnątrz państwa. Towarzystwo, które obrało sobie za siedlisko Warszawę, zamierza wchodzić w stosunki z kupcami towarów zagranicznych za pomocą katalogów i prób, skutkiem czego pośrednictwo komiwojażerów i agentów stanie się zbytecznem, a tem samem cena towarów będzie niższa. Na czele przedsiębiorstwa stoją kapitaliści warszawscy, firma wiedeńska Heinrich i sp. oraz jedno towarzystwo angielskie.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. W nowej ustawie adwokackiej dodano paragraf, na mocy którego w okręgu sądowym warszawskim nie będą nadal zatwierdzani adwokaci żydzi. (*Peterb. wied.*).

— Ostatecznie opracowano projekt prawa o lichwie. Jeżeli pożyczka lichwiarska wydana była w takich warunkach, które świadomie dla wierzyciela mogły zrujnować dłużnika, albo jeżeli wysokość procentu była ukryta w jakikolwiek sposób, winny podlega pozbawieniu praw i zamknięciu w więzieniu od 1—5 lat. Stopa procentu, nie przewyższająca 20%, nie jest uważana za wygórowaną. Umowa lichwiarska traci swoją ważność, wierzyciel zaś ma prawo żądać zwrotu swego kapitału z procentem prawnym. Odpowiednie kary stosowane będą w razie, jeżeli lichwiarz, mający małoletnich w liczbie swoich klientów, namawia ich do podpisywania weksłów na sumę wyższą od wydanej pożyczki. Projekt ten czytany będzie wkrótce w radzie państwa. (Dzienniki petersburskie).

— Ogłoszono prawo, na mocy którego działalność nauczycielska melamedów, tj. nauczycieli żydowskich, ma być zależną od posiadania świadectwa wydanego przez miejscową władzę naukową na rok jeden.

— Rada państwa zatwierdziła już projekt przepisów, dotyczących odpowiedzialności fabrykantów za śmierć i kalectwo robotników.

— Komisya majoratowa uznała za niezbędne wydawanie pożyczek szlachcie dziedzicznej w Rosyi europejskiej, kiedy chodzi o wykupienie majątków rodowych z rąk szlachty obcego pochodzenia lub osób innych stanów. Zakres tej działalności powierzony będzie Bankowi szlacheckiemu.

— W Łodzi otwarto pierwszą tanią kuchnię, założoną przez miejscowe chrześciańskie Towarzystwo dobroczynności.

Szkoły. Pierwsze gimnazyum męzkie w Warszawie posiada wolne miejsca na przyszły rok szkolny w klasach: pierwszej i czwartej. Prośby o dopuszczenie do egzaminów wstępnych składać można od 13 do 27 maja.

— Z dn. 1 maja praktykanci Muzeum Pszczelniczego rozpoczęli naukę jedwabnictwa w zakładzie p. Boguckiego za rogatką belwederską. Egzamin w pierwszych dniach lipca.

— Z dn. 1 lipca powstanie w Warszawie 12 nowych szkół miejskich elementarnych jednoklasowych dla chrześcian; z tej liczby 2 żeńskie, 10 męzkich. Zakłady te będą umieszczone na krańcach miasta dla ubogiej ludności rzemieślniczej.

— Ministeryum dóbr państwa zapowiada szereg nowych środków w zakresie wykształcenia rolniczego. Pomiędzy innemi: zupełne usunięcie z programu wyższych zakładów naukowych rolniczych nauki ogrodnictwa i utworzenie natomiast specyalnych szkół ogrodniczych; dalej — otwarcie szeregu szkół zawodowych pod nazwą „zimowych,“ wreszcie — ogrodniczo-rolniczych dla kobiet. Nauczycielami w „zimowych“ będą osoby, które ukończyły kurs zakładów specyalnych wyższych lub średnich. Te same osoby mają jednocześnie pełnić obowiązki agronomów miejscowych.

— Na przedstawienie tutejszej władzy edukacyjnej wychowańcom korpusów kadeckich dozwolono zapisywać się w poczet studentów gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej-Aleksandryi, z warunkiem, aby zdawali przepisane egzaminy wstępne.

— W kilku miastach gubernialnych i powiatowych Królestwa Polskiego powstaną szkoły zawodowe. Na początek będzie ich sześć: stolarsko-ciesielskie w Radomiu i Częstochowie, ślusarskie w Płocku i Włocławku, krawieckie i szewckie w Kielcach i Kaliszu. Na urządzenie będą zaczerpnięte środki z funduszów miejskich; na utrzymanie nauczycieli i majstrów — z ministeryum oświaty. Zakłady te mają być otwarte na początku przyszłego roku szkolnego. (*Kur. warsz.*).

— Szkoła ogrodnicza niższa z kursem trzyletnim przy warszawskim ogrodzie pomologicznym będzie

otwarta w przyszłym roku szkolnym. Wykłady teoretyczne w miesiącach zimowych, praktyczne — w innych porach roku.

Sprawy kolejowe. Zarząd kolei Nadwiślańskiej wprowadzi pociągi robocze po znacznie zniżonej cenie, na wzór zaprojektowanych przez zjazd górniczy dla dróg Wiedeńskiej i Dąbrowskiej.

— Zarząd kolei Dąbrowskiej przenosi się z dn. 7 maja do Petersburga.

— W tych dniach odbyło się posiedzenie członków zarządu zawieszonej kasy emerytalnej kolei Nadwiślańskiej, na którem postanowiono wszystkie listy zastawne, wartości 700,000 rs., z 5% zamienić na $4^1/_2$%.

— Zarząd kolei Nadwiślańskiej wydał rozporządzenie, ażeby zmniejszono liczbę służby konduktorskiej, tj. hamulcowych, przyjętych w okresie zwiększonego ruchu.

Zdrowie publiczne. Od 23 marca do 23 kwietnia zachorowało na cholerę w Galicyi i na Bukowinie 54 osoby, z których 26 zmarło.

— Sezon leczniczy w zakładach kąpielowych: Busku i Ciechocinku otwarty będzie od 20 maja.

— Z dn. 13 b. m. w różnych punktach Warszawy otwarte będą stacye szczepienia ospy.

Wystawy. Program wystawy rolniczej w Wilnie, zapowiedzianej na 25 września, zawiera 8 oddziałów, z których 7 przeznaczono dla wytwórców z gubernii: wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej i mińskiej; jeden (8-my) jest oddziałem konkursowym dla innych gubernii. Mogą się w nim mieścić przedmioty przemysłu fabrycznego, mające związek z gospodarstwem wiejskiem.

— Dnia 1 b. m. otwarto wystawę w Chicago. W uroczystości uczestniczyło 300,000 osób.

Bibliografia. Dr. W. Oltuszewski, *Istota, przyczyny i leczenie jąkania i wadliwego wymawiania*, str. 20, Warszawa, kop. 20.

— M. Gawalewicz, *Perła*, obraz dramatyczny wierszem, str. 35, Warszawa.

Zmarli. Cezary Wilanowski, znawca numizmatyki i bibliografii, w Sławucie. R. 1881 rozpoczął w Warszawie wydawnictwo p. t. *Przegląd bibliograficzno-archeologiczny*.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 23 Апрѣля 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.